

# Kamena

LUBLIN 4.VIII.1968 Nr 16 (397) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

## KAZIMIERZ miasto wyjątkowo pechowe?

Janusz Danielak

**W**OKOŁ tego niewielkiego miasteczka powstała atmosfera co najmniej dwuznaczna. Gdybym tworzył referat, napisałbym: „szeroki wachlarz uczuć”. Od bezmyślnej fascynacji do namiennej złości. Od sentymentalnej kontemplacji do rezygnacji i zniechęcenia. Piękno i brud. „Romantycy” i „nowocześni”. Wspaniała historia, niewyraźna przyszłość, po środku dość nijaka teraźniejszość. Tony zapisanego papieru — i niedowład działania. Paraliż prawie.

Kiedy teraz ja z kolei temat Kazimierza Dolnego podejmuję — robię to z pewnym zażenowaniem. Czy warto bowiem jeszcze raz o rzeczy tak opisanej, że sama bibliografia tworzyłaby już piękny tom? O rzeczy tak prawej bez żadnego skutku obgadanej, że zażenowaniu mojemu towarzyszyć musi także stan nerwowego rozdrażnienia, jeśli już nie złość?

Jednak złość byłaby bezsensowna. Bowiem nie ma się na kogo gniewać. Nie ma winnych. Nie ma winnych tego, że w ciągu dwudziestu czterech lat — oprócz chwalebnej renowacji kilku zabytkowych kamieniczek i nie mniej chwalebnej przebudowy śpiżni na schronisko PTTK — w Kazimierzu nie zrobiono prawie nic. Wina to rady miejskiej, powiatowej czy wojewódzkiej? Wina mieszkańców Kazimierza czy jego „miłośników” z Warszawy i Lublina? Ministerstwa Gospodarki Komunalnej czy Ministerstwa Kultury, a może Chemii? Wina dziennikarzy czy architektów? Może kolarzy?

Nawet tania ironia jest niezłym środkiem uspokajającym. Mogę więc teraz, prawie spokojnie, usprawiedliwić się, dlaczego jednak ów temat podejmuję.

Otóż rok bieżący, rok Tysiąc Dwieście Sześćdziesiąty Ośmy, do całkowicie dotychczas papierowego sporu o Kazimierz — dodał pewne fakty.

Gotowy jest wreszcie, w takich bólach rodzony, plan ogólny zagospodarowania przestrzennego miasta.

I fakt drugi, dla nie tylko piękno emanującego Kazimierza — zasadniczy: zapadła decyzja budowy

kanalizacji i wodociągów. Przyznano pieniądze, sporządza się dokumentację.

Oczywiście, można powiedzieć, że są to także „fakty papierowe”. Ale przecież — w przeciwieństwie do poprzednich jałowych sporów — brzemienne w skutki. Coś nareszcie zaczyna się dziać. Na górze za basztą robi się już pierwsze wiercenia.

Plan urbanistyczny Kazimierza — pierwszy od czasów... Renesansu — nie jest jeszcze zatwierdzony. Ale warto przedstawić najważniejsze jego założenia. Przedtem jednak — niezbędna dygresja.

Otóż przez wiele lat ja także uważałem się za „zakochanego w Kazimierzu”. Dotąd, póki nie przekonałem się, że ów nadmiar uczucia, miłość owa, ze wszech stron Kazimierzowi nad Wisłą objawiana jest właściwie dlań zabójcza. I to zarówno miłość tak zwanych „romantyków” jak i „nowoczesnych”.

Bo trzeba jednak tutaj przypomnieć, iż generalny spór, paraliżujący działanie spór — między nimi się odbywa.

Scharakteryzujmy postawy skrajne.

Jedni chcą widzieć „skansen”, zniechęcający obraz Kazimierza — nie, nie renesansowego — bo takiego już nie ma — ale Kazimierza z lat ich młodości. A więc wraz z nędzną zabudową z początku naszego wieku, z ruderami przy ulicy Lubelskiej, z malowniczymi przekupkami na rynku, z całym lokalnym kolorytem sprzed lat pięćdziesięciu.

Przy okazji sporu o lokalizację hotelu „Orbisu” komisja Ministerstwa Kultury stwierdziła: *Kazimierz należy uważać za zespół zabytkowy zamknięty, którego nie wolno rozbudowywać, gdyż utraci on wartość zabytkową.*

Romantyków ostro atakują „nowocześni”. Dobrym przykładem ich stanowiska może być artykuł Henryka Pajaka w „Sztandarze Ludu” z dnia 22 maja, pod tytułem „Romantycy schodzą z ruin”. Autor dość ma „bredzeń” starszych panów o ochronie Kazimierza, widzi to miasto jako „współczesny ośrodek turystyczny” — domy wczasowe, piękne hotele, restauracje itp

(Dokończenie na str. 4)



Kazimierz — rynek. Widok z Góry Trzech Krzyży.

Fot. Janusz Urban



Kazimierz — plaża.

Fot. Janusz Urban

## Z prądem i pod prąd

Romuald  
Wiśniewski

**J**EST późne popołudnie. Cicho, spokojnie. Lustro Wisły lśni w promieniach zachodzącego słońca. Na wodzie ani śladu człowieka. Jedyne przy brzegu stoi na cumach kilka dużych barek z piaskiem i żwirem oraz pływająca betoniarka do umacniania wałów nadbrzeżnych. Dozorca betoniarki, Aleksander Pielak, siedzi na burcie i moczy nogi w wodzie.

— Ladne barki! Pewnie ze 100 ton można załadować na jedną? To chyba ciekawa praca w żegludze rzecznej?

— Hii, panie, co to za żegluga teraz... — macha ręką z dezaprobatą Pielak. — Przepłynię coś od czasu do czasu, jakiś holownik, jakiś spacerowiec i koniec. Pamiętam dobrze lata po pierwszej wojnie światowej, a nawet przed nią. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni ciągnęły łodzie, baty, krypy, barki i duże statki pasażerskie. Jak się czasem stanoło na górze w Kazimierzu i popatrzyło, aż się dusza człowiekowi radowała. Szli pod żag-

lem, na wiosłach, na parze i na puch. Słyszał pan o burlakach w Rosji? U nas też byli tacy. Sam widziałem nieraz, jak czterech szło brzegiem w zaprzęgu i ciągnęło łódź, a piąty odpychał ją drągiem od brzegu. Ja, gdy szukałem pracy, to popłynąłem do Warszawy statkiem, bo kosztowało to o połowę taniej niż koleją. Dziś taka przyjemność jest droższa niż koleją czy autobusem... Nie wierzy pan, że dawniej był taki ruch na Wiśle?

Czego mam nie wierzyć? Pielak urodził się w Kazimierzu i całe życie spędził nad Wisłą, a żyje już lat 63, więc może mieć swoje opinie na tematy związane z rzeką. W poglądach nie jest odosobniony. Rozmawiałem z wieloma ludźmi na różnych stanowiskach, od najniższych do bardzo wysokich, i słyszałem to samo: Wisła nie jest wykorzystana jako droga wodna, dawniej było inaczej, transport rzeczny odgrywał znaczną rolę w gospodarce nadwiślańskich rejonów, dziś zaniedbujemy go. Słyszałem też zdania zupełnie odmienne: co było dobre 80 czy 50 lat temu — nie jest

dobre dziś. Rozwinęła się komunikacja lądowa, zwłaszcza samochodowa, a samochód nie wymaga kilkakrotnych załadunków i rozładunków, dowlezie towar tam gdzie trzeba, jest znacznie szybszy od transportu wodnego.

Kto ma rację? Ze swego punktu widzenia — wszyscy. Istotnie — dawniej udział żeglugi śródlądowej w transporcie ogólnym był znacznie większy, co wynikało z niskich możliwości przewozowych transportu lądowego. 50 lat temu, na przykład, sieć dróg żelaznych była rzadsza niż obecnie, wagony mniejsze, parowozy o mniejszym uciążu i mniejszej szybkości, zaś transport drogowy jeszcze gorszy, bo opierał się głównie o konny, poruszający się po nie do porównania gorszych drogach. Pociąg wodny, składający się z holownika i kilku 50-tonowych barek, przewoził więc ładunek jak na owe czasy poważny. Dziś kraj pokrywa sieć dróg o asfaltowej nawierzchni, po których pędzą wielkie ciężarówki z przyczepami. Czy transport rzeczny ma

jakiegokolwiek szanse konkurencji z lądowym?

Transport wodami śródlądowymi stanowi w Polsce tylko nikły odsetek transportu ogólnego: w roku 1965 zaledwie 1 proc. przewozu liczonego w tonach, 2 proc. liczonego w tonokilometrach. Zajmujemy jednak w tej dziedzinie jedno z ostatnich miejsc w Europie. ZSRR 6 proc. tonokilometrów przewozi w tonokilometrach, Bułgaria — 8 proc., Francja — 9 proc., NRD — 13 proc., NRF — aż 28 proc. Lecz wzrost przewozów, rozwój motoryzacji, tłok na kole i na szosach powodują coraz większe zainteresowanie transportu żegluga śródlądowa. Samochód i koleje okazały się zwycięskimi konkurentami w przewozie ładunków małych i średnich oraz w przewozie ładunków wymagających szybkiego dostarczenia adresatowi. Przy ładunkach masowych, nie wymagających takiego pośpiechu, a szczególnie dostarczanych na dalsze odległości, walory żeglugi śródlądowej nadal są bez-

(Dokończenie na str. 6)



**D**RUGA połowa lipca 1944 r. nie zapowiadała w niczym, że Warszawa zostanie wydana na zagładę i zniszczenie, jakemu nie uległo żadne miasto w tej wojnie. Każdy z nas, kto mieszkał i przeżywał wówczas w Warszawie, widział wyraźnie oznaki zbliżającego się frontu. Przez miasto ze wschodu na zachód przewalały się kolumny samochodów naladowanych zrabowanymi rzeczami, ciągnęły baterie najcięższej artylerii przeciwlotniczej, widać było również to, że tam resztki rozbitych niemieckich formacji wojskowych. Warszawiacy głośno zastanawiali się nad tym, czy Warszawa będzie przez Niemców broniła, czy też zostanie oddana bez walki. Powoli plotka opadła z Warszawy.

Temczasem niepokój wśród wojsk i robotników narastał. W niedzielę, dnia 23 lipca, wybuchła wśród nich jasna panika. Władze i urzędy niemieckie kończyły gorączkowe przygotowania do ewakuacji. Rozpoczęła się masowa ucieczka Niemców na zachód. W poniedziałek i wtorek sklepy nie-

wyznaczone punkty Niemcy podstawił kilkadziesiąt samochodów ciężarowych. W każdym punkcie zgłosiło się po kilkanaście osób. O godz. 9.00 samochody odjechały, nie zabierając nawet tych, którzy dobrowolnie się zgłosili do roboty. Przez kilka następnych godzin Warszawa była w oczekiwaniu masowych łapanek i represji. Jednak ani łapanek, ani represji nie było. To zdezorientowało opinię publiczną. Jedni twierdzili, że w tej sytuacji brak represji jest oznaką całkowitej słabości, inni zaś uważali, że Niemcy nie chcą drażnić ludności. Niezależnie od tego, kto miał rację, jedno było pewne, że Niemcom udało się opanować panikę, że wielu niemieckich urzędników wróciło do miejsc swego urzędowania, że robotnicy i urzędnicy polscy otrzymali wezwanie, aby natychmiast stawili się do pracy. Jednocześnie załogi bunkrów, broniących dostępu do obiektów ważnych pod względem wojskowym, zostały bardzo wzmocnione. Bunkry i gęste zasieki z drutów kolcza-

wolonych spod niemieckiej hitlerowskiej Armii Czerwonej. Wówczas w Warszawie PKWN wydał goebbelsowska propaganda w języku polskim. Programy rozgłoszone w ten sposób w Warszawie były wyjątkowo atrakcyjne. Podziemna prasa polityczna nie pozostawała w tyle, pisząc na temat genery powstania i składu robotniczego PKWN, co popadło.

Zbieżność reakcyjnej propagandy z propagandą goebbelsowską była zadziwiająca. Jak wierny, ta współpraca ideologiczna hitleryzmu z reakcją polską miała swoje tradycje. Najbardziej wyjątkowo po raz pierwszy w okresie kampanii katyńskiej.

Temperatura nastrojów politycznych podniosła się o kilka stopni, gdy do Warszawy dotarły konkretne wiadomości o planowanej podróży Mikołajczyka do Moskwy. Sprawa polska wypłynęła na forum międzynarodowe. Przedstawiciele emigracji londyńskiej udają się do Moskwy w momencie, gdy PKWN przystępuje do pracy na terenach wyzwolonych. Demokratyczna opinia Warszawy zadawała sobie pytanie, z czym Mikołajczyk jedzie

# POWSTANIE WARSZAWSKIE

Zenon Kliszko

mieście były już pozamykane, z instytucji państwowych, komunalnych i gospodarczych przyniki urzędnicy niemieccy; poczta, telegraf i telefon nieczynne; dla Polaków został wstrzymany ruch pasażerski na kolejach. Zdawało się, że Armia Czerwona wraca już do Warszawy. Stugębna plotka szalała. Na Pradze widziano już czołgi sowieckie. Pod głośnikami zbierały się tysiące tłumy w oczekiwaniu na komunikat głównej kwatery niemieckiej. Chociaż komunikat był wstrząsający, pędził treścią wymaganą, gdy podawano go z ust do ust. To samo było z biuletynami radiowymi, wydawanymi przez organizację nielegalną. W napięciu oczekiwania miasto dochodziło do kresu wytrzymałości.

Gdy panika wśród Niemców osiągnęła swój punkt szczytowy, w Warszawie zjawiał się sam szef Sztabu Generalnego, gen. Guderian. Podobno doszło do ostrej rozmowy między nim, a oberkatem warszawskim, gen. Fischerem. W środę, 26 lipca, rozlepiono czerwone afisze, podpisane przez Fischera. Tym wszystkim, którzy rozpuszczają fałszywe wiadomości, jakoby Siedlce zostały wzięte przez wojska sowieckie, którzy zamykają sklepy, nie przychodzą do pracy lub dopuszczają się do aktów sabotażu i dywersji, groził surowymi represjami. Pod koniec wyraził wiarę w to, że jak w 1920 r., tak i teraz dokona się drugi cud nad Wisłą. W ślad za tym rozlepiono na drugi dzień wezwania skierowane do ludności cywilnej; w piątek 28 lipca, o godz. 8.00 rano w czterech oznaczonych punktach Warszawy ma się stawić sto tysięcy mężczyzn i kobiet do roboty fortyfikacyjnych. Rzeczywiście w piątek przed godz. 8.00 rano na

stych, biegnące wokół całych kompleksów budynków, wskazywały na to, że Niemcy nie zrezygnują łatwo z Warszawy, że przygotowali się odpowiednio do prowadzenia walk wewnątrz miasta. Jednocześnie odbywały się przesunięcia wojsk niemieckich z zachodu na wschód. Od soboty przez trzy noce z rządu przewalały się czołgi na prawy brzeg Wisły. Dochodziły jeszcze dalekie pomruki dział frontowych, ale odczuwalnie się coraz bardziej, że lada dzień może nastąpić zahamowanie ofensywy sowieckiej, że Niemcy nad Wisłą będą stawiać zdecydowany opór. Dla tych, którzy liczyli na szybkie uwolnienie Warszawy przez Armię Czerwoną, niepokojący był fakt ustania nalotów na Pragę. Gdy noc z piątku na sobotę minęła spokojnie, ludzie z niepokojem pytali siebie nawzajem, dlaczego nie było nalotów. Następną noc miały również w spokoju, jedynie turkot ciężkich czołgów sunących na wschód wdzierał się nocą do mieszkań. Wysoka temperatura febrę przyfrontowej, jaka przed kilkoma dniami ogarnęła Warszawę, zaczęła powoli opadać. Miało się wrażenie, że Niemcy zdołali opanować na pewien czas sytuację, że linia Wisły będzie przez nich broniła z całą zdecydowością. Trzecia faza letniej ofensywy sowieckiej miała się ku końcowi.

W tym samym czasie Warszawa przeżywała wielką sensację polityczną: utworzenie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego na terenach u-

do Moskwy? Każdy zdawał sobie sprawę, że ta wizyta może mieć doniosłe następstwa, ale nikt nie przypuszczał, że będą aż tak tragiczne, jak zniszczenie Warszawy w wyniku powstania.

Dowództwo Armii Krajowej i Delegatura Krajowa emigracyjnego rządu londyńskiego zaktywizowały swoją działalność wówczas, gdy sytuacja na froncie zdradzała pewne tendencje do stabilizacji, gdy na podstawie wnikliwych obserwacji można było przypuszczać, że ofensywa sowiecka, podczas której Armia Czerwona posunęła się o kilkadziesiąt kilometrów na zachód, ulegnie zahamowaniu ze względu na konieczność podciągnięcia tyłów i rezerw, że czołwki Armii Czerwonej są tylko kółkami, a nie głównym trzonem jej sił. W czwartek, 27 lipca, dowództwo AK zarządziło ostre pogotowie swoich oddziałów. W piątek od samego rana mówilo się w mieście, że o 5.00 po południu „zacznie się”. O 6.00 wieczorem było wiadomo, że termin wybuchu powstania został przesunięty na dzień następny. Odkładano terminy aż do wtorku, do dnia 1 sierpnia. Dla nikogo nie było tajemnicą. Każde dziecko wiedziało o tym, że termin wybuchu powstania odkłada się z dnia na dzień. W domu, na ulicy, gdzie toczyło się życie na wspólnie, po biurach i urzędach polskich dyskutowano zawzięcie, czy należy już rozpoczynać. Zdecydowana większość wypowiedziała się przeciwko natychmiastowemu wstąpieniu do otwartego powstania zbrojnego. Często słyszano się głosy, że trzeba czekać na wyjaśnienie sytuacji militarnej i politycznej, że przecież sztaby armii sprzymierzonych niejednokrotnie przypominały, że z rozpoczęciem powstania należy tak długo czekać, aż będzie wydatne wezwanie z ich strony.

Kierownictwa polityczne i wojskowe demokratycznych ugrupowań i partii z dużą obawą obserwowały tę nagłą aktywność dowództwa AK, mobilizującego swoje oddziały w



Warszawa, lipiec 1944. Barykada na Starym Mieście. Fot. Archiwum

Warszawie. Byli wśród nas tacy, którzy ją lekceważyli, powołując się na to, że nie ma dotąd żadnego współdziałania między dowództwem AK a dowództwem Armii Czerwonej, że jeśli nawet dowództwo AK myśli poważnie o rozpoczęciu powstania, to nie będzie miało odwagi brać na swoje barki całkowitej odpowiedzialności za powzięcie decyzji w tym kierunku i porozumie się z innymi organizacjami wojskowymi lub przynajmniej omówi z nimi sytuację, jaka wytworzyła się w Warszawie w związku z przesunięciami frontu na prawym brzegu Wisły. Ludzono się, że dowództwo AK w podejmowaniu decyzji kierować się będzie względami wojskowymi, że zrezygnuje z rozszerzenia monopolistycznych i zgodzi się na utworzenie wspólnego dowództwa, do którego

będzie należało ostatnie słowo w sprawie ustalenia terminu powstania.

Stało się inaczej. We wtorek, dnia 1 sierpnia, wybuchło powstanie na rozkaz gen. Bora-Komorowskiego i Sosnkowskiego. Początek akcji zbrojnej został wyznaczony na godzinę 5.00 po południu. O tym terminie mówilo całe miasto, mówilo się o tym, że przez radio nadawany będzie sygnał „Burza”, że w określonym czasie odezwie się kilka syren alarmowych. Dowództwo AK parło do wybuchu powstania na własny rachunek i własną odpowiedzialność, wyznaczając pozostałym organizacjom wojskowym rolę biernych obserwatorów, rolę kibiców. O tym, że nie było również

(Dokończenie na str. 8)

## Za trzy miesiące – V Zjazd PZPR

**P**RZED nami obchody doniosłych rocznic — 50-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, 50-lecia powstania KPP, 20-lecia zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego. Przed nami — wielka dyskusja przedzjazdowa, której ukoronowaniem stanie się zwołany na dzień 11 listopada V Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Władysław Gomułka, zabierając głos na XII Plenum KC PZPR, podkreślił, że dyskusja przedzjazdowa stanowi wyraz najszerzej podjętej demokracji wewnątrzpartyjnej, w której ramach każdy członek partii, każda organizacja i instancja partyjna mają możliwość wpływu na treść uchwał zjazdu i kształtowanie polityki partii. Tezy zjazdowe, przyjęte przez plenum — stwierdził z naciskiem i sekretarz KC PZPR — staną się dla wszystkich organizacji partyjnych obowiązujące tylko jako materiał dyskusyjny. Każda organizacja i instancja partyjna, a także każdy członek partii, może zgłaszać poprawki i uzupełnienia do tez. PZPR jest kierowniczą siłą narodu. Problematyka objęta tezami na zjazd musi więc i całego narodu dotyczyć. Tezy choć są dokumentem partyjnym mają charakter ogólnonarodowy. Przeto — mówił Władysław Gomułka — i prawo do dyskusji nad problematyką objętą tezami (z wyłączeniem oczywiście spraw wewnątrzpartyjnych) powinno mieć taki sam charakter. W dyskusji mogą zatem włączyć udział również przedstawiciele innych partii i organizacji społecznych wchodzących w skład Frontu Jedności Narodu oraz każdy, kto w sposób twórczy, choć może zarazem krytycznie, pragnie się wypowiedzieć w określonej sprawie.

Z chwilą, gdy zjazd partii w swych uchwałach rozstrzygnie dyskusyjne sprawy i tym samym zamknie dyskusję, jego uchwały stają się obowiązujące dla całej partii, dla wszystkich jej organizacji i dla wszystkich jej członków bez względu na to, jakie poglądy wyrażali w czasie dyskusji. W tym — przypominał i sekretarz KC — wyraża się istota centralizmu demokratycznego, który stanowi naczelną zasadę jednolitego działania partii i jej fundamentalną zasadę organizacyjną.

**T**EZY zjazdowe zawierają niezwykle bogaty wachlarz zagadnień, wobec których nikt z nas żyjących między Bugiem a Odrą nie może przejść obojętnie. Pierwsza część tez po krótkim wstępie historycznym stanowi jak gdyby podsumowanie naszego dorobku w okresie ostatnich czterech lat, dzielących nas od IV Zjazdu partii. Dziś chcemy zająć się właśnie tym wstępem historycznym. Wyraża on prawdy oczywiste, o których trzeba pamiętać.

Tezy podkreślają, że odzyskanie przed 50 laty niepodległego bytu państwowego miało ogromne znaczenie dla narodu polskiego, dla umocnienia wśród mas ludowych nowoczesnej świadomości narodowej, dla walki społecznowyzwoleńczej polskiej klasy robotniczej, dla utworzenia jednego organizmu gospodarczego i systemu prawnoadministracyjnego, dla rozwoju kultury i oświaty.

II Rzeczpospolita przetrwała do 1939 roku. Sprawiedliwie oceniamy ów okres, dostrzegamy w pełni, jakie wartości wytworzyli w tamtym dwudziestoleciu ludzie pracy. Z drugiej strony zdajemy sobie dobrze sprawę — zwłaszcza dziś, nauczani doświadczeniem lat wojny — że rządy burżuazyjne okazały się niezdolne do przewyższenia zacofania pozostawionego przez zaborców, że polityka zagraniczna reakcji nie zabezpieczyła niepodległości państwa przed niemieckim imperializmem, doprowadzając Polskę do faktycznej izolacji międzynarodowej.

Okupacja hitlerowska stanowiła kolejną gorzką lekcję. Te same siły społeczne, które doprowadziły naród polski do Września 1939 r., wiodły Polskę ku nowej zagładzie. Jedynie słuszną okazała się linia, jaką wytyczyła Polska Partia Robotnicza. PPR stanęła na gruncie zbrojnej walki z okupantem w sojuszu z Armią Radziecką. PPR wezwała naród do walki o Polskę ludu pracującego. PPR wypowiedziała się za Polską w sprawiedliwych granicach, opartą na zachodzie o Odrę i Nysę Łużycką, złączoną bratnim przymierzem z narodami Związku Radzieckiego. I taką Polskę mamy dzisiaj.

Zalóżmy — mówił Władysław Gomułka na XII Plenum KC PZPR — że u zarania Polski Ludowej w

1944 r. istniałby inny układ sił klasowych w skali międzynarodowej i w skali wewnętrznej i do władzy przyszłyby ekipa londyńska, która w kraju miała wielką przewagę nad nami, miała wielki aparat dysponujący kadrami i środkami materialnymi. Myśmy byli zdani na własne, skromne siły, a obóz londyński miał do dyspozycji miliony dolarów.

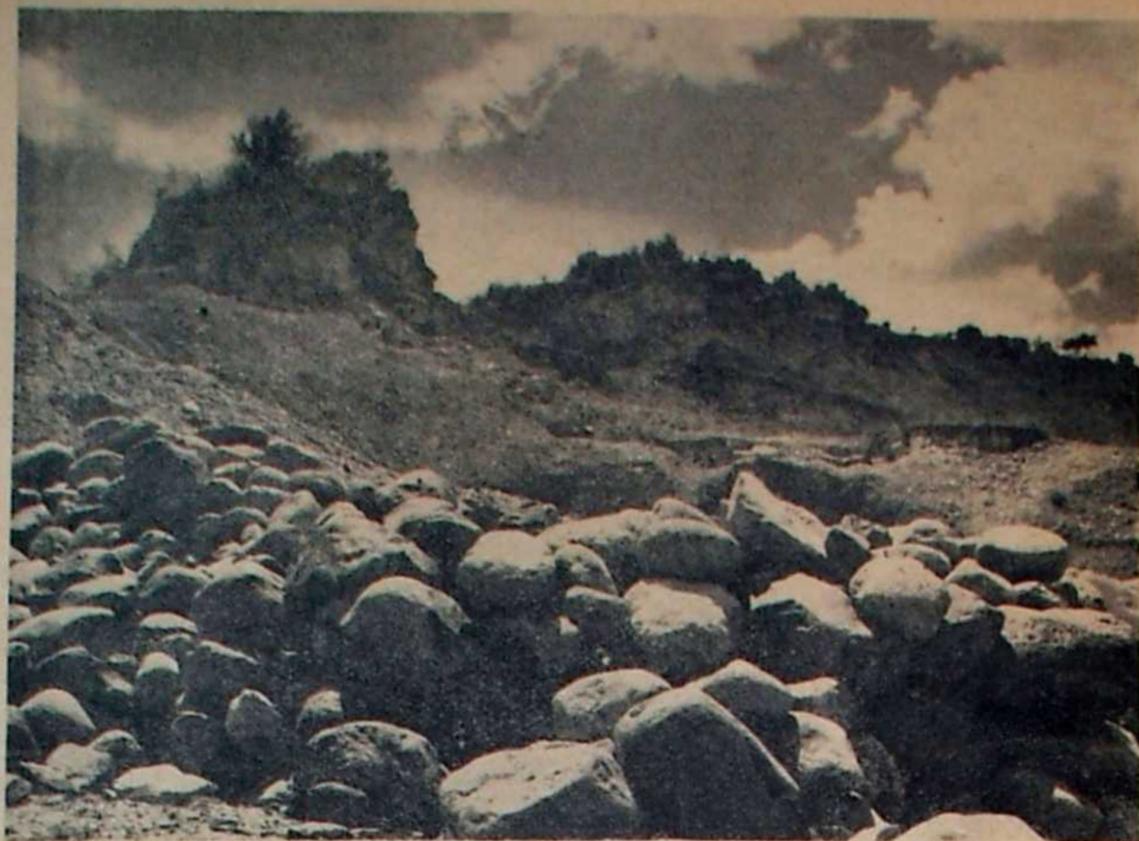
Co by było wówczas z Polską? Czym bylibyśmy? To nie jest tylko akademickie pytanie. Nasz kraj byłby wówczas bez ziem zachodnich i bez ziem wschodnich. Byłby jakimś księstwem warszawskim. Byłby niczym.

Dziś mamy wiele publikacji, wiele dokumentów, które mówią o tym, jak wielką batalię musieliśmy stoczyć o to, by Stettin był Szczecinem, a Breslau — Wrocławiem. Gdyby w kraju nie zwyciężyła linia PPR, nigdy nie mielibyśmy tak olbrzymiego i tak konsekwentnego poparcia Związku Radzieckiego. Było to poparcie polityczne, poparcie militarne. To ostatnie pozwoliło nam utworzyć I i II Armię Wojska Polskiego, które u boku Armii Radzieckiej wykrywały się — poczynając od Dywizji im. Tadeusza Kościuszki — na olbrzymim szlaku od Lenino do Berlina. Największy upust krwi polskich armii nastąpił bodaj właśnie przy zdobywaniu Ziemi Zachodnich — na Wale Pomorskim, na Ziemi Szczecińskiej. Za powrót nad Odrę, nad Nysę Łużycką zapłaciłmy cenę najwyższą.

Stany Zjednoczone, Wielka Brytania nigdy nie były zainteresowane w przywróceniu Polsce granic piastowskich. Godziły się na linię Curzona na wschodzie, dając Polsce jedynie małą rekompensatę na zachodzie. Ich flirt z Niemcami rozpoczął się już w kilkanaście miesięcy po Pozdaniu. Taka jest prawda historyczna.

**Z**ASYGNALIZOWALIŚMY tylko jeden problem poruszony w tezach zjazdowych, problem, który, podkreślamy, ciągle warto i trzeba — zwłaszcza po wydarzeniach marcowych — przypominać.

Do dyskusji nad tezami włączymy się szerzej skupiając główną uwagę — z uwagi na charakter naszego pisma — na problematyce ideologicznej i kulturalnej. Chcielibyśmy w ten sposób wnieść i nasz skromny wkład do ogólnopolskiej debaty nad kształtem najbliższych lat naszej ziemi ojczystej.



Kazimierz — kamieniołomy.

Fot. Zbigniew Żugał

## KAZIMIERZ miasto wyjątkowo pechowe?

(Dokończenie ze str. 1)

W nadmiernym zapale rozstrzyga nawet kwestię ich lokalizacji. Ową gniew zapalczywy i owa inwestycyjna orgia — też są wyrazem uczucia dla Kazimierza. Bo po co by tam tyle budować, jeśli się tego miasta nie lubiło?

Otóż napisałem i podtrzymuję to, że ten nadmiar uczucia z obu stron — był i może być w dalszym ciągu dla Kazimierza morderczy. I choć na ogół lubię skrajne stanowiska, w tym wypadku będę propagował „złoty środek”.

Skrajne stanowisko romantyków jest nie do utrzymania. Nie da się odgradzić Kazimierza od dwudziestego wieku. Oczywiście, jest Kazimierz miastem superzabytkowym. Nie mieszka tam jednak i nie przyjeżdżają tam tylko zabytkowi ludzie. Z każdym rokiem jest ich coraz mniej.

Konieczna jest w Kazimierzu ochrona krajobrazu, ochrona zabytków architektury, ochrona przyrody. Zbędna jest całkowicie ochrona brudu, ruder i anachronicznych sentymentów.

Całkowicie „obronna” pozycja romantyków przyniosła już widoczne szkody. Wstrzymało to wiele niezbędnych inwestycji, jak właśnie wodociąg i kanalizacja, w nieskończoność przedłużało opracowanie planu urbanistycznego.

W dodatku nie był to, bo być nie mógł, opór całkowicie skuteczny. „Nowoczesność” wkraczała do Kazimierza boczny drogami, chyłkiem, niby tymczasowo — i dlatego w najgorszym wydaniu. Przypomnijmy ów najazd koszmarnych nieraz domków campingowych, które pozornie tylko są „dziełem XX wieku”. Albo owe pawilony nad Wisłą. Ostatnio zbudowano nowy pawilon restauracyjny, „tymczasowy”, ale wiadomo, że te tymczasowe budynki twarde u nas mają żywot.

Prawdziwej zaś nowoczesności — nie ma. Może Dom Prasy, ale z wątpliwościami.

A przecież wiadomo — mamy na to gdzie indziej liczne przykłady — że architektura rzeczywiście nowoczesna daje się zabytkowemu kształtem miasta pogodzić. Pod warunkiem posiadania dobrego smaku, rzekłbym — taktu. I rozsądku także.

Czyżby zatem przystąpił do obozu „nowoczesnych”? Bynajmniej. Bowiem mam właśnie uzasadnione obawy co do ich „taktu”, a i rozsądku także. Dowodem mogą być próby wypychania w samą śródmieście niedłgie wieżowców, inwazja na kazimierzowskie wawozy i wzgórze, przecież nie mniej cenne niż zabytkowe kamieniczki.

Otóż to właśnie. Wiele się mówi o ochronie urbanistyczno-architektonicznego kształtu Kazimierza, bardzo mało o ochronie terenów wokół tego miasteczka. Przyroda zaś jest tu równie fascynująca jak architektura.

Przypomnijmy sobie Tatry. Turysty, a raczej pseudoturysty „od Czarnego Stawu”, więcej tam na-

niszczyci, niż halny i burze. Sprawę Kazimierza można by porównać ze sprawą Zakopanego i Tatr w miniaturze. Wzgórze i wawozy wokół Kazimierza to obszar pełen uroku, ale bardzo niewielki. Ludzki napór, turystyczna erozja, szybko ten urok może zniszczyć. Jak zniszczony już został wawóz Małachowskiego, jak zniszczona jest Trzykrzyska Góra — najpierw przez kozy, później przez wycieczki.

A więc i od tej strony patrząc widać konieczność ograniczenia za inwestowania w Kazimierz. Nie martw się skansen, jednak miasto kameralne. Bo byłby to tragiczny paradoks, gdyby namiętni poszukiwacze piękna przyczynili się do jego całkowitego unicestwienia. A na to się zanosi. W WRN leży kilkanaście gwałtownych zgłoszeń inwestorów, którzy koniecznie muszą budować w Kazimierzu. Hotele, domy czasowe, a nawet trzypiętrowe, „normalne” budynki mieszkalne.

Jaką odpowiedź dają na to autorzy ogólnego planu zagospodarowania przestrzennego Kazimierza? Jest ten plan dostatecznie ogólny, by odpowiedź mogła być dwuznaczna. W zasadzie, wobec wyżej przedstawionej sytuacji między młotem i kowadłem, plan proponuje wyjście kompromisowe. A więc, oczywiście, zakaz zabudowy wysokiej, odsunięcie nowej zabudowy mieszkaniowej aż na Czerniawę, zatem poza zabytkowy zespół architektoniczny. Ale hotele, ale domy czasowe — z lokalizacją obok Domu Prasy i przy schronisku PTTK. Teoretycznie — wyłącznie dla „baz otwartych”. Ale dla innych furtka jest tylko lekko przyknięta. I istnieje poważna obawa, że znajdzie się wielu inwestorów dostatecznie „siłnych”, by ją popchnąć i otworzyć. Mamy już tego przykład: dom puławskich „Azotów”. Sprawa ta, jak wiadomo, oparła się aż o władzę najwyższą. Stało się. Jeśli jednak dwudziestu kolejnych inwestorów zacznie się tak upierać, popłynie lawina papieru, nieskończony ciąg sporów na wszystkich „szczeblach”. Sporów, prowadzących do zwycięstw pyrrusowych. Bo zdobędzie się Kazimierz, ale to już w ogóle nie będzie Kazimierz. Wnukowie będą pytać, czemu właściwie ci dziadkowie tak się tutaj pchali, skoro jest tyle ładniejszych terenów nad Wisłą nawet: Janowiec, Bochońnica, Piotrawin, Kaliszany, Annopol?

Dlaczego się pchają? Nie tylko z miłości. Ze snobizmu, bo moda, bo tak ładnie jest powiedzieć „Byłem na urlopie w Kazimierzu”. Bo także cały i z pewnym szumem opracowany plan zagospodarowania turystycznego „Trójkąta” jest na papierze i w szufladach. Bo całej „lubelskiej” Wiśle nikt jeszcze do kładnie się nie przyjrzał.

Wracając do Kazimierza: plan ogólny, lepszy czy gorszy, dobrze, że nareszcie jest. Nie rozstrzyga on jednak zasadniczych dylematów. Kształt Kazimierza zależy będzie od decyzji szczegółowych. I jeśli chcemy, by przyszedł Kazimierz zachował zarówno swoje dawne piękno jak i dodał doń nowe, tryb podejmowania decyzji musi się zmienić radykalnie. „Rozwiednienie” tych decyzji na dziesiątki instancji,

wydziałów i instytucji, pozornie „demokratyczne”, na ogół prowadzi do żalonych skutków, a na pewno do braku odpowiedzialności. W Kazimierzu powinien być jeden projektant generalny, artysta, ale i fachowiec, posiadający moc decyzji ostatecznej.

A na razie cieszymy się, że rozpoczyna się nareszcie inwestycja od lat w ryzostokami stającym Kazimierzu najpilniejszą: wodociąg i kanalizację. Choć i tu poważne zamartwienie. Miasto prawie do dna zostanie rozkopane. Roboty oblicza się na trzy lata, można by marzyć o jednorocznym „uderzeniu”, trzeba się obawiać lat pięciu. Inwestycje komunalne na ogół nie mają u nas szczęścia.

Ale Kazimierz przecież — to miasto wyjątkowe. Dotychczas wyjątkowo pechowe. Może by więc teraz — dla odmiany choćby — wyjątkowo szczęśliwe?

Janusz Danielak



Kazimierz — kamienica Celujowskich

Fot. Jan Urban

**W**IADOMOSC o śmierci Karola Borowskiego dosięgła mnie nagle z pierwszej strony warszawskiej gazety omracając słoneczny lipcowy poranek w parku należąco-wskim.

Należyców ma zdrowiskowe, zwolnione tempo życia, może dlatego osaczają nas tutaj łatwo wspomnienia o rzeczach odległych i pewni ludzie, którzy odeszli, wydają się ciągle obecni. Tym żywsza wróciła do mej pamięci postać Pana Karola, jednego z najaktywniejszych organizatorów teatru Polski Ludowej na terenie „stolecznego” Lublina.

Wypadło mi zetknąć się z Karolem Borowskim osobiście na początku października 44 roku, kiedy razem z moim mężem, muzykologiem Edwardem Wrockim, wyneźniali przybycze z prawobrzeżnej Warszawy, stawiliśmy się w PKWN po przydział jakiegokolwiek pracy kulturalnej. Tyle minęło odtąd lat, a widzę jeszcze wyraźnie ówczesną sylwetkę Borowskiego, w której przy późniejszych spotkaniach nie dostrzegałam znacznych zmian. Była to sylwetka wysokiego starszego pana o dobrych manierach sprzed pierwszej wojny światowej, dbałego w stroju i postawie. Sam kiedyś wyznał, że „wzbogaciwszy się” na czterech lubelskich koncertach, gdzie występował z Zelwerowiczem, Mirą Zimińską, Ireną Malkiewicz, Pichelskim i Rachoniem, kupił sobie „piękną laskę i butelkę luksusowej wody kolońskiej”.

Pan Karol był w Resorcie Kultury PKWN swoim człowiekiem.

Wspominał potem zawsze z rozczuleniem, ile serca okazali mu Jego przełożeni, znani pisarze Wincenty Rzymowski i Jan Karol Wende, jak również towarzysze pracy w Wydziale Teatrów PKWN-u Mieczysław Drobner, Jerzy Jurandot, Jan Sztaudynger.

W marcu r. 1945 Karol Borowski, wspólnie z Antonim Różyckim (także już dziś nieżyjącym), przyjął na siebie odpowiedzialność za losy lubelskiego Teatru Miejskiego, zdestawowanego przez hitlerowców. Scenę tę wskrzesili nieomal naziątrną po wywołaniu Ireny Ladosiówna i Józef Klejer wystawiając przygodnie zwerbowanymi siłami aktorskimi aż pięć sztuk. Następnie Teatr Wojska Polskiego, pod kierownictwem Władysława Krasnowieckiego, w czasie swego dwumiesięcznego „postoju” w Lublinie oślnił tu społeczeństwo (przebieg na razie „stoleczny”) wspaniałymi spektaklami „Wesela” i „Dożywocia”. Ale były to, oczywiście, jedynie prowizorki. Z chwilą wyjazdu Teatru Wojska do Krakowa trzeba było pomyśleć o stałej placówce teatralnej dla Lublina już nie-„sto-

lecznego”. W realizacji tego zadania wielką rolę miał odegrać Karol Borowski, kierownik artystyczny zaangażowany przez nowego dyrektora, Antoniego Różyckiego, którego uprzednio... sam mianował będąc Szefem Wydziału Teatrów. Pewne akty władz w tych bukolicznych czasach były rozbrajająco paradoksalne, lecz dąlbóg, nacechowane najlepszymi intencjami.

Istotnie Borowski z Różyckim wzięwszy się energicznie do pracy szybko skompletowali „zespół gwiazdorów”. W jego skład weszli m. in.: Maria Gorczyńska, Malkiewicz, Ladosiówna, Ossowska, Gustawa Błońska, Janina Macherska, Hilda Skrzydłowska, Alina Zeliska, Jaraczówna, Martini, Zygmunt Chmielewski, Józef Kondrat, Leon Łuszczewski, Maksymilian Chmielewski, Pichelski, Klejer, Ryszard Piekarczyk, Jerzy Słiwa, Wiesław Michnikowski (zwabiony bodaj z rewiowego teatru Domu Żołnierza). No i grał oczywiście sam Karol Borowski, a przede wszystkim — bożyszcze kobiet Antoni Różycki. Głównym reżyserem był Borowski, ale reżyserowali także: Ladosiówna, Błońska, Chmielewski, dyrektor Różycki. Do wyreżyserowania jednej sztuki skaptowano nawet Antoniego Fertnera. W tej zabawnej farsie Fauchois „Ostrożnie, świeżo malowane” debiutowała, zdaje się, Zosia Stefańska. Zyskał też teatr znakomitego scenografa w osobie Zofii Węgierkowskiej. Przy niej pierwsze kroki stawiał w scenografii Jerzy Torończyk.

Wielkiego trzeba było umiłowania sztuki, by stworzyć w teatrze atmosferę pracy artystycznej przy braku zaplecza scenicznego w postaci porządnego garderób, pomieszczeń na pracownię, na skład dekoracji, a zwłaszcza ludzkich warunków mieszkaniowych dla aktorów. Lecz zapal w dużej mierze wyrównywał braki. Alina Zeliska tak oto będzie później wspominać otwarcie nowego teatru „Skizem” Zapolskiej w dniu 20 marca 1945 r.: *Publiczność rozentuzjarmowana, nie że teatr nieopalony, nie że niejedyn widz na sali podjada jajka, kanapki, popija z butelki — czujemy ciepły fluid idący z widowni. Wszystko w porządku: polską aktor na scenie, polska publiczność na sali, przemawia polska autorka... Pamiętny ten okres umiarkowanej twórczości we wszystkich dziedzinach, w teatrze wyrażał się specjalnie intensywnie, nie było dnia bez bukieciów znoszonych za kulisy...*

W sezonie 1945/46, kiedy Borowski współpracował w Lublinie z Różyckim, wystawili oni dziewięć sztuk. Pełniam podówczas funkcję z-cy kierownika Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki i z tego tytułu dawałam niekiedy wyraz niezadowoleni repertuarem Teatru Miejskiego — w recenzjach, które zamieszczał mi dwutygodnik społeczno-literacki „Zdrój”. Rzec w tym, że w tamtych dniach twórczenia nowego świata ludzie pracujący „w kulturze” wierzyli święcie, iż dobry repertuar teatralny powinien być na wskroś dydaktyczny, wychowujący i kształcący na poczekaniu. Dziś z perspektywy czasu repertuar lubelskiego Teatru Miejskiego w sezonie 1945/46, kiedy nie było jeszcze sztuk Mrożka, Różewicza, Grochowiaka, Broszkiewicza i kilku innych wybitniejszych dramatopisarzy polskich, kiedy nawet o egzemplarze lepszych sztuk przedwojennych było nielato — ów repertuar Borowskiego i Różyckiego wydaje mi się nie najgorzej wyważony.

Sam Karol Borowski wyreżyserował wtedy w Lublinie siedem sztuk, m. in. „Lekkomyslną siostrę” Perzyńskiego, „Walcę się dom” Morozowicz-Szczepkowskiej, „Ziemie nieludzka” de Currela, „Nadzieję” Heijermanna, „Świecznik” Musseta. Największym osiągnięciem był właśnie subtelny i gorzki „Świecznik”, ostatnia pozycja przed wyjazdem Pana Karola z Lublina. Reżyserie Jęgo cechowała w ogóle czytelność, pomysłowość w sytuacjach, poszanowanie tekstu, vis comica tam, gdzie należy, no i dobry smak.

Wiele zawdzięcza Lublin Karolowi Borowskiemu, który trudził się ofiarnie w latach 1944—46 nad stworzeniem stałej lubelskiej sceny dramatycznej. Jakże przejmującego znaczenia nabierają teraz myśli wypowiedziane przez Niego w r. 1959:

*Minęło lat piętnaście. Bezlistny czas wyrwał z grona żyjących niekórych współtwórców pięknego dzieła, jakim był wskrzeszony do życia Teatr Lubelski. Dzisiejszy Teatr im. J. Osterwy ma do spełnienia nie lada zadanie. Niech dzisiejsi następcy tamtych już dziś nieobecnych podnie spełniają swoją rolę! Niech pamiętają, że ze sceny lubelskiej padły pierwsze słowa tak długo tłumionej w okresie niewoli mowy polskiej. Niech pamiętają, że to obowiązują!*

## Jak dzień ze swego popołudnia

W walce ze światem, by mi wydał tajemnicę,  
Nagle spojony jego gwałtownym pięknem,  
Staje, jak w świetle pobliskich drzewach domu  
Ten, który wyszedł na słońce.

Nie odsłonię wstęch dawnych stanowiąc,  
Z których zrodziłem, by wyprostować kości i marzenia,  
Nie jak żołnierz z warty, lecz jak dzień ze swego  
popołudnia

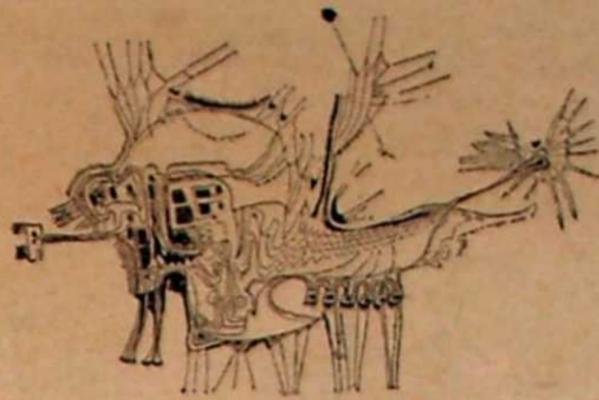
Między kwiaty widzące oczami ziemi,  
Między kłosa nastroszone urodzajem,  
Między drzewa porozumiewające się cieniami,  
Między płótna, które wybiła słońce.

Nie z tego, co mnie niegdyś uderzyło po oczach,  
Nie minęło bez bruzdy na moim czole,  
Nawet kółko fioletowej, ujrzały  
W dzieciństwie, po raz pierwszy, nie zmienił się w popiół.  
Moim piątkiem jest feniks, moją kontalią  
zmarłych wstanie.

Nie korzystałem ze starych zapisów kamienia,  
Z regularnych rozkładów jazdy ziemskiej planety,  
Z przypliwów i odpływów morza podnoszonego przez  
księżyc.

Nie wertowałem statystyk umiarkowanych —  
Moje odmiennie trawa, przynajmniej postać młodej kobiety,  
Otwiera usta zrywając fal umiarkowanych w pianę,  
Która zostawia ślad soli na brzegu.

To wszystko, co mogę zrobić:  
zatrzymać w spojrzeniu,  
Odszedłszy się przyjęciem nauki  
W domu, którego drzwi są otwarte na przyjęcie lata,  
Odpłacić się jak pole lubina —  
słońcu.



Rys. Zbigniew Strzałkowski

W białej sukni,  
W słomkowym kapeluszu,  
Jak plama słoneczna  
Na piasku.

Biegająca z kłosem uśmiechu,  
Lekka.

I nagle oddaliła ją ode mnie  
Pustynia ognia,  
Rozdzieliła martwą rzeką.

Ruiny Troi,  
Ruiny Warszawy.

Czarny wiatr portael  
Kapelusz słomkowy,  
Z białej sukni wyluskał,  
Suknię zmienił w obłok.

Naga biegnie,  
Pada,  
Zrywa się znowu.

Zanim przybiegła do mnie,  
Ubiegły stulecia,  
Cieniem na piasku  
Tonie w moim cieniu.

„Fale morza i rodu tylko z  
rzadko — i jak gdyby wie-  
dziona kaprysem — po stu la-  
tach zwrócić wybrzeża nasz  
pierzchnię, wnukowi naszą  
twórcę”.

MARYNA CWIETAJEWĄ

Ja już nie znalazłem car-  
skiej szkoły. Wszelkich  
zabiegów rusyfikacyj-  
nych względem pol-  
skiej młodzieży; walki  
o prawa wysławiania  
się w ojczystym języku. To były  
lata młodości mego ojca i moich  
stryjów. Ale tradycje niedalekiej  
przeszłości były zawsze żywe i  
wspomnienia przewijały się usta-  
wicznie. Często rozmowy krótkie,  
urywane, lub dłuższe opowiadania  
objęły się o moje dziecięce uszy i  
pozostawiały trwałe ślady.

Później, znacznie później, prze-  
czytałem książkę „Syzyfowe prace”.  
Lecz zanim ją dostałem do ręki  
żywo i plastycznie wiedziałem i wi-  
działem to wszystko, co się wtedy  
działo. Nazwiska Apuchtina, kura-  
tora warszawskiego, Siengalewicz,  
dyrektora gimnazjum w Lublinie,  
do którego uczęszczał mój ojciec i  
jego bracia — na zawsze pozostały  
w mej pamięci.

Walka była zaciekła, lecz ukryta.  
Śledem pieczęci milczenia — ścisła  
konspiracja. Tajne komplety  
nauczania; deklamowanie na swoich  
zebraniach zakazanych wierszy Mi-  
ciewicza, Słowackiego itp. W razie  
wpadki — odpowiedzialność ogrom-  
na. Przecież nawet za rozmowę po  
polsku w obrębie murów gimnaz-  
jum groziło wydalenie. A wydale-  
nie z dodatkami tzw. „wilczego  
biletu” zamykało bramy wszelkich  
uczelnia na przestrzeni całego pań-  
stwa, a tym samym przekreślało  
przyszłość i lamalo życie młodemu  
człowiekowi.

Młodzię szkolna, pełna tempera-  
mentu i inicjatywy, starała się po-  
nadto korzystać z każdej chwili,  
by dokuczyć znienawidzonym pe-  
dagogom i dać wyraz swej pogar-  
dy i nienawiści.

Specjalna sława w naszej rodzinie  
cieszył się najstarszy brat mego ojca,  
Mieczysław. On to, jak głosiła legenda,  
z kilkoma kolegami po uprzednim przy-  
gotowaniu — wypatrzył stałą trasę  
przechadzki przedwioznych dyrektora  
Siengalewicz, a działało się to po szre-  
gu specjalnie drastycznych antypol-  
skich jego wystąpieniach. Otóż, gdy  
dyktatorz dostojnym krokiem w towa-  
rystwie dość licznej grupy satelitów  
zbliżał się do parku miejskiego, z za-  
rośli wyłoniła się grupa młodych ludzi,  
z których jeden obnażył te części ciała,  
która powszechnie uchodzi za nieprzy-  
zwoita, a pozostałi głośno po polsku  
zapropowowali złożenie tam pocałunku.  
Satrapa i jego otoczenie zdębieli, a  
skoro oprzytomnieli, rozwieścieni i  
rużali się w pogon, sprawy mikił bez  
śladoń wśród drzew i krzaków. Po-  
dobno wówczas w głębi parku rozległ  
się głos tym razem po rosyjsku; nie  
ma do czego tak bardzo się śpieszyć.

Siengalewicz wiedział, że ta ponizają-  
ca go scena została zamieszczona  
przez jego uczniów, lecz nadaremnie  
starał się ujawnić ich nazwiska. Całe  
miasto się śmiało i całe miasto wie-  
działo, ale dyrektor nie mógł się do-  
wiedzieć. Z pomocy policji nie chciał  
korzystać, bojąc się całkowitego ośmie-  
szenia.

Takie to historie i wiele innych opo-  
wiadano w naszej rodzinie.

Zdaje mi się, że wtedy nikt nie  
wiedział, a nawet nie przypuszczał,  
że ten nadgorliwy wykonawca dra-  
kańskich poleceń sam pochodzi ze  
szlachty polskiej na Wołyniu i że  
był uczniem słynnego profesora  
Antoniego Maleckiego, zasłużonego  
odkrywcę Słowackiego, i że dokto-  
ryzował się na uniwersytecie  
lwowskim pod patronatem chluby  
naszej polonistyki.

Przeszedł więc wychowanie pol-  
skie i nawet przy badaniach śled-  
czych — jak podaje profesor UJ  
Stefan Surrzycki w książce wyda-  
nej w r. 1933 — zwierzał się, że  
należał do tajnych narodowych  
polskich kółek uczniowskich.

Obok Siengalewicz i Apuchtina  
jedno jeszcze nazwisko utkwiło na  
trwale w mej pamięci: Dymitr  
Iwanowicz Ilowajski — historyk,  
autor podręcznika Historii Po-  
wszechnej i przede wszystkim Hi-  
storii Rosji, który w tych czasach

obowiązywał do nauczania we  
wszystkich gimnazjach i z którego  
uczniowie Polacy musieli się uczyć  
i nieraz całe wersety wykuwać na  
pamięć.

Osobliwa to była książka, napli-  
sana z takim niezwykłym żarliwym  
szowinizmem, że wśród rozlicznych  
dział, wydanych w drugiej połowie  
XIX wieku, stanowiła ciekawy uni-  
kat. Namietna i jakby chorobliwa  
miłość do Rosji, prawosławia i mo-  
narchii — znajdowała tu wyraz w  
nienawiści do cudzoziemców. Wro-  
gość do Polaków — słusznie wtedy  
nazywana polakożerstwem. I wiele,  
wiele innych podobnych spraw, które  
dziś nazywamy fobią i obsesją.

Namietności nie należą do dobrych  
doradców historyka, toteż prawda w  
jego książkach, a tym bardziej podre-  
cznikach, była za bardzo subiektywna —  
dla Polaków często nawet nie do zniesie-  
nia.

# KAPRYSY KLIO

Konrad Bielski

Długotrwały ślad po sobie pozostawił  
ten autor i jego dzieło, skoro wiele lat  
później, gdy ten podręcznik został u-  
sunięty nawet ze szkół rosyjskich, jako  
wyjątkowo obskurantki — ciągle po-  
wracał w rozmowach i wspomnieniach  
tamtych ludzi. Bież to razy słyszałem:  
„ośławiony Ilowajski” — „któż jak nie  
Ilowajski” — „światopogląd Ilowajskie-  
go” itp. Toteż dla mnie z czasem ta  
osoba stała się postacią z legendy, tym  
bardziej, że ja uczyłem się już w in-  
nych czasach, z innych podręczników,  
w innym duchu pisanych, choć jeszcze  
w języku rosyjskim.

Muszę się przyznać, że książki  
Ilowajskiego nie czytałem, a nawet  
nie przeglądałem. Wszystko, co o  
nim wiem, to z drugiej ręki. Jeden  
egzemplarz był przechowywany w  
bibliotece mego ojca, pokazywano  
mi go z daleka, jeszcze dziecku, z  
odpowiednim komentarzem — ale  
gdy już podrosłem, mogłem czytać  
i krytycznie oceniać, ani książki,  
ani biblioteki, ani naszego domu  
już nie było.

Jednak długo mnie intrygował i  
zaciekawiał ten Ilowajski. Chciałem  
koniecznie o nim, jako człowieku,  
coś się dowiedzieć: kim był, jak  
wyglądał, w jakim otoczeniu spo-  
dział życie. Przypuszczam, że bym  
te dane w końcu uzyskał, ale po  
pierwsze — nie była to sprawa tak  
bardzo pilna, a po drugie — praw-  
dziwa historia, nie ta z podręczni-  
ków, porwała nas w taki wir wy-  
darzeń, że nie czas było myśleć o  
małych głupstwach i detalach.

Jeszcze przez pewien okres czasu  
„stary Polacy” powtarzali nie-  
kiedy przy wspomnieniach nazwi-  
sko Ilowajskiego, zawsze ze zgro-  
zą i obrzydzeniem, w końcu i oni po-  
umierali i zapomniano o tym  
wszystkim.

Aż tu pewnego dnia...

Ale trzeba znowu zacząć od po-  
czątku.

Od dawna jestem, nie powiem,  
entuzjasta, bo w moim wieku tych  
słów się nie używa, ale miłośnik  
i wytrwałym konsumentem  
poezji rosyjskiej. Ostatnio zaś bar-  
dzo interesuje mnie trójka wy-  
bitnych poetów, połączonych ze sobą  
ciekawymi i niecodziennymi po-  
wiązaniami, choć każdy z nich sta-  
nowi odrębną, swolsta indywidual-  
ność. Są to: Maryna Cwietajewa,  
Osip Mandelstam i Maksymilian  
Wołoszyn.

Oczywiście poetka ta za sobą wy-  
sukiwanie, gromadzenie i kompleto-  
wanie utworów wyżej wymienionej  
trójki poetyckiej, oraz wszelkich do-

stępnych mi materiałów dotyczących  
ich życia i twórczości. Niełatwo to za-  
danie i dość kłopotliwe hobby. Książ-  
ki przede mną poszukiwane były wy-  
dawane bądź przed pierwszą wojną  
światową, lub też w latach bezpośrednio  
po niej i należą dzisiaj do rzad-  
kich i nieosiągalnych przedmiotów okazów.  
W bibliotekach naszych przeważnie ich  
nie ma — prywatne księgozbiory, mój  
własny i moich przyjaciół, uległy w  
wskrośni całkowitemu zniszczeniu.  
Niektórzy szczęśliwi posiadacze, prze-  
ważnie w Warszawie, specje od poezji  
rosyjskiej — strzegą zazdrośnie swych  
skarbów i nie wypuszczają ich z rąk.  
Władom również, że ci poeci przez  
długi okres czasu nie byli wcale wy-  
dawani, a te edycje, które ukazały się  
w Związku Radzieckim w ostatnich  
latach, z miejsca dochwytywane, przeważ-  
nie do nas nie docierają i są prawie  
nieodostępne.

Nie mniejsze trudności towarzyszyły  
wszelkim próbom uzyskania możliwie  
wyczerpujących informacji o ich życiu  
poetyckim i prywatnym. Potrzebne  
szczegóły i materiały niełatwo było  
zdobyć, a biografie tych twórców są  
bardzo skomplikowane i dalekie od ja-

skim i to z pierwszej ręki od osoby  
najbliższej, która jednocześnie tak  
wiele powiedziała o sobie samej.

Jak więc wyglądał i kim był na  
prawdę ten Stary Pimen? Zobaczy-  
łem go w pełnym świetle — wnucz-  
ka jego pokazała go całkowicie,  
zarówno wygląd zewnętrzny, sposób  
bycia jak i mroczne zakamarki je-  
go duszy. Przeproszam za banalne  
i wyświechtane słowo, ale dopraw-  
dy tu jakoś pasuje. Pisząc dalej,  
będę się posługiwał tekstem z  
„Twórczości” (przekład Wierzy Bień-  
kowskiej) i oficie czerpał stamtąd  
cytaty. Oczywiście w sposób ogra-  
niczony zarówno rozmiarem tego  
szkicu jak i moim zamiarem pisar-  
skim.

A więc jak wyglądał: Piękny to  
był starzec wysoki i postawny,  
mimo dziewięćdziesięciu lat, pro-  
sty jak sosna. Regularne rysy,  
lekką kędzierzawość — jak u Tur-  
gieniewa — włosy z przedziałkiem  
z boku i jak u Turgieniewa piękne  
czoło. A spod tego czoła spojrenie  
lodowatych, dużych, przenikliwych  
oczu, które na wszystko, co żyje,  
patrzyły z ołowianym spokojem.  
Uśmiechu na twarzy Ilowajskiego  
nie widziałam nigdy.

Poza licznymi pracami zawodo-  
wymi, związanymi z dziejopisar-  
stwem wydawał miesięcznik  
„Kreml”, którego był redaktorem,  
administratorem, współpracowni-  
kiem i gońcem w jednej osobie. W  
czasopiśmie tym wygłaszał co mie-  
siąc swoje credo. Nienawiść do in-  
nych narodów przejawiała się tam  
w sposób jaskrawy. Co ciekawe,  
że ten „Kreml” został, chwilowo  
wprawdzie, zamknięty przez cen-  
zurę. Ale za co? Za to, że hi-  
storię Ilowajski otwarcie i ostro  
potępił historyczny gest ostatniego  
cara rosyjskiego w październiku  
1905 r. Nawet cień liberalizmu i  
nikła perspektywa swobód obywatel-  
skich wydawały się dla Staro-  
go Pimena gróźne.

Jedynę, co mi utkwiło w pa-  
męci z moich odwiedzin w do-  
mu Ilowajskich — pisze Cwietaje-  
wa — to stopy „Kremla” w głębo-  
kich niszach okiennych; sięgały po-  
lowały okien i nie tylko w przenośni,  
ale jak najdosłowniejszy przystani-  
ni mieszkańcom i gościom tego domu  
światła i świat. A sam gość, skle-  
piona suterena z czasów Godunowa  
— proszę zapamiętać.

zaraz na wstępie te słowa: „nie  
żaden wspólny dziadek, jak „dzia-  
dek Krylow” czy „dziadek Ander-  
sen” ale najprawdziwszy, nie ro-  
dzony jednak, tylko przyrodni”.

Czyżby naprawdę? Ten makabryczny  
historik, znienawidzony przez całe po-  
kolenia młodzieży, ten oślawiony Ilowaj-  
ski — dziadkiem mojej ulubionej  
wspaniałej poetki! Przeczytałem jed-  
nym ichem i najpierw się zachwyciłem  
tym tak świetnie napisanym opowia-  
daniem — wspomnieniem, którego każ-  
da karta mówi, że wyszła spod mi-  
strzowskiego pióra — a następnie u-  
wierdziłem się w przekonaniu. Tak —  
nie ulega wątpliwości — to wszyst-  
ko jest napisane o tymże sa-  
mym Ilowajskim. Zresztą już tytuł  
wiele wyjaśnia. Pimen, ten legendarny  
kronikarz z „Borysa Godunowa” Puszkina,  
Pimen — to patron wszystkich kroni-  
karskich i historycznych, to patron Ilowaj-  
skiego. A pokrewieństwo z Cwietaje-  
wą: jego córka była pierwszą żoną  
jej ojca!

I tak przypadkiem, po tylu latach,  
dowiedziałem się wszystkiego o Ilowaj-

A dalej o tym domu poetka mó-  
wi, że był to dom śmierci. Wszyst-  
ko miało swój koniec: uroda, mło-  
dość, wdzięk, życie. Wszystko w tym  
domu kończyło się oprócz Ilowaj-  
skiego. Twardy starzec postanowił  
żyć. Kolejno pochował: pierwszą  
żonę, dwóch synów i córkę, oraz  
syna i córkę z drugiego małżeń-  
stwa. To był jakiś pomór na mło-  
dość. Pomór, który tylko jego omi-  
jał.

Ciekawe — najmłodsza córka Ilowaj-  
skiego, dla niego gorzej niż u-  
marła — uciekla na Syberię za  
mężczyzną żydowskiego pochodze-  
nia i tam go poślubiła. Aby ocalić  
siebie musiała zerwać z tym do-  
mem dosłownie i symbolicznie —  
wyrwać się spod tyranii i sprzenie-  
wierzyć kulturowym, tam ide-  
om.

Ale oddajmy jeszcze głos Cwie-  
tajewej: nad tymi dziećmi zawisła  
fatum wczesnej śmierci. A ponie-  
waż wszystko jest mitem, ponieważ  
nie ma nie-mitu, ponieważ nie  
ma nic poza mitem, nie ma nic  
prócz mitu, ponieważ mit wszyst-  
ko przewidział i raz na zawsze  
uformował, Ilowajskiego widać  
dziś jako Charona, który prze-  
wozi przez Letę wszystkie swoje  
śmiertelne dzieci jedno po drugim.

A on — zimny, niewzruszony —  
jego oczy nie widziały sensu mar-  
tywych ciał. Historii we własnym do-  
mu i życiu starzec nie dostrzegł.  
Następnie Cwietajewa opowiada  
dzieje śmierci tych ludzi. Pięknych,  
młodych. Nie nazywa choroby, któ-  
ra ich naznaczyła piętnem zagłady.  
Sądzą, że to gruźlica, wtedy nie-  
uleczalna i szczególnie groźna dla  
młodych. Poetka nie szczędi naj-  
piękniejszych barw swej palety, by  
odmalować niecodzienną urodę i  
wdzięk na zawsze odchodzących. I  
ten dom ponurego, bezdusznego des-  
poty, przypominającego mitycznego  
Priama — z tą tylko różnicą, że  
Priam rozpaczał po utracie swych  
najbliższych — a ten nawet łzy nie  
uronil.

Jak powiada: wszyscy są żywi,  
życi wchodzi w śmierć, z kwiatami,  
z książką, z zabawką... Wszyst-  
ko zmienia się w tej lodzi prócz  
przewoźnika. W trakcie opowia-  
nia narzucają się jej analogie i po-  
równania jeszcze posępniejsze, pi-  
sząc o stosunku starszych do dzieci  
i o tym, że w tym domu, wbrew  
ogólnie przyjętym zwyczajom, mie-  
szkały na dole, a starci na górze,  
tak powiada: u Ilowajskich dzieci  
zostały przez rodziców zepchnięte  
na dół, pod maszynę ciężkie skle-  
pienie... Hadesu. Widocznie starość  
Staroego Pimena była starsza od  
szlacheckiej (Uran, Tytani). Niekie-  
dy jednak potęgując jeszcze ów o-  
braz Hadesu, wydaje mi się on już  
nie Zeusem, ale Plutonem — wład-  
cą podziemnego królestwa.

Lata mijaly, najbliżsi dokola u-  
mierali. Stary Pimen wciąż żył i  
pracował, pisał swe książki, swe  
dzieła, formował dawne dzieje po  
swojemu, tworzył jakiś swoisty sy-  
stem swojej historiozofii, nie nie  
wiedząc, że pisze rzeczy, których  
nikt czytać nie będzie. Ze prawdzi-  
wa historia, te osobliwe fantasma-  
gorie najpierw obali, a potem ze-  
trze i wykreśli z pamięci ludzkiej.  
Ze zostanie tylko osobliwy unikat  
dla szperaczy i kolekcjonerów.

Doczekał rewolucji — świat jego  
się rozleciał, jak domek z kart, ale  
on tego nie dostrzegł. Jego oczy  
nie mogły tego widzieć. W r. 1918  
aresztowany i zwolniony dzięki sta-  
niamom, na prośbę Cwietajewej, Zya-  
da Iks, decyzją samego Dzierży-  
ńskiego, Polaka-komunisty. Tych lu-  
dzi, których on tak nienawidził.  
Zeby się dowiedział, komu zawdzię-  
cza wolność, chyba by poprosił, że-  
by z powrotem — tak myśli jego  
wnuczka.

Umarł Ilowajski w 1919 r. w  
wieku lat 91. — do końca życia  
(Dokończenie na str. 11)

Pierro Jahier

## Mój naród

(Fragment)

Ech, ech, chłopacy, życie nie jest znów tak drogie! Postępujcie — oto warunki: wegetować, emigrować, chorować, szpitala, więzienia, spelunki. Hej, chłopcy, a wiecie, że wojna to wcale niezałatwia! To tylko w starych powieściach na końcu się umiera. Iluż z naszej wielkiej ojczyzny z garstką ziemi rodzinnej w torbie kraj opuściwszy, zawsze tu wracało. Tyłu nas na plecach ja nosiło w worku, którego nie zgubimy. Gdy z wojny wszystkich dni naszych tutaj go zrucamy, to na chwilę jedynie, aby broń swą zmienić, i w dal ruszamy.

Umberto Saba

## Koza

Mówiłem do kozy. Była sama na łące, była przywiązana; syta trawy, skapaną w deszczu plakała. To jednostajne beczenie było tak bliskie memu cierpieniu, że jej odpowiedział, zrazu dla żartu, a potem ponieważ cierpienie jest wieczyste i ma głos jeden, nie ma głosów różnych; ten głos słyszałem, jak jęczał w kozie samotnej na próżno, w kozie, o rysach semickich niezłicie, usłyszałem, jak skrzy się zło wszystko inne, wszystko inne życie.

Luciano Folgore

## Każdemu odrobinę dzieciństwa

Puszysty miś z białego materiału z długą jedwabną wstążką i dziecko w aksamitnym czerwonym ubranku.

ciagnąc swą zabawkę po bruku łagodnej zimy.

Wszystkie oczy nań patrzy, przechodnie w różnym wieku przystają, by podziwiać słoneczną beztrochę brzdąca, który kroczy z idącym za nim małym skarbem z sukna. I w powietrzu niteczki tęsknoty za utraconym od dawna dzieciństwem w chwilach zżęszczonych w koncentrycznych spiralach pożądliwych myśli

o szczęście, który nie istnieje. Ale skąd taki smutek?

A nasze powozy i piękne nasze kobiety i kwiaty, ujeżdżalnie, zawody, miłości między snem a zmiernem? Lalki, zabawy, igraszki. Nic więcej, tylko to jedynie.

A więc naprzód jeszcze i zawsze z beztroską słoneczną dziecką w czerwonym ubranku ciągnącego za sobą sukienki misia przez długi trakt życia.

historię sentimentalną, był śmiały się do rozuku ze zdrady? Mały trędowaty staruszek, przestał się tak uśmiechać! Świt po drodze kroczy od godziny. Zbudź się! Nie widzisz, że niejeden zatrzymuje się i patrzy na niemy twój uśmiech idioty. gdy ty wciąż śnisz z rękami na brzuchu te wielką nieznaną szczęśliwość?

Aldo Palazzeschi

## Ara mara amara

W głębi na skłonie, gdzie rosną wysokie cyprysy, jest mała łąka. Stoją tam w cieniu trzy staruszkę grające w kości. Ani na chwilę nie podnoszą głowy i przez dzień cały nie zmieniają miejsca. Na trawie na kleczkach stoją sobie w tym cieniu i grają.

Enrico Pea

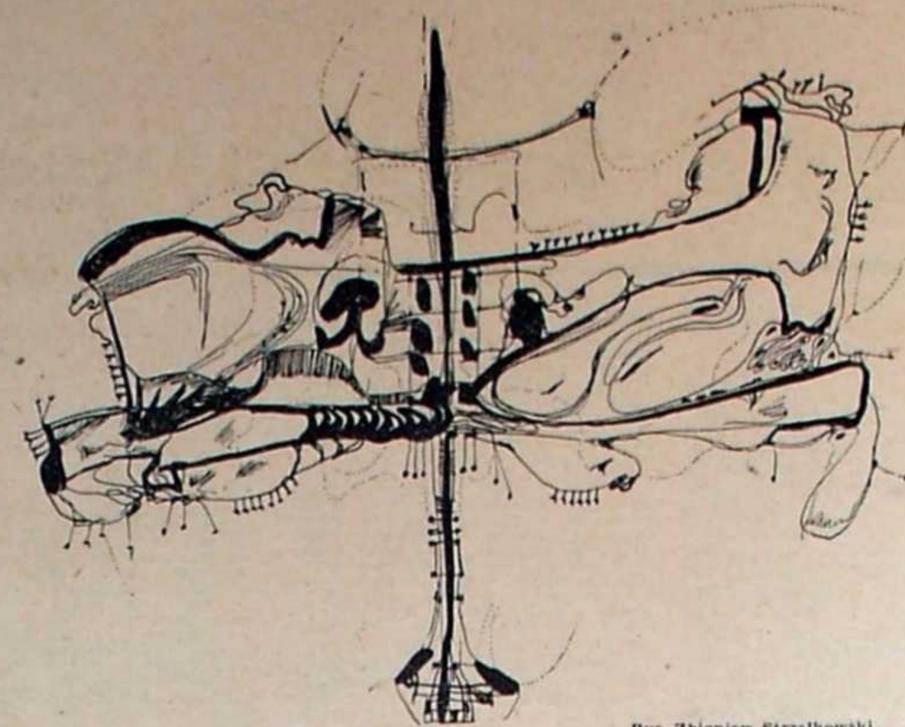
## Rosalbina

Rosalbino, zdajesz się madonna. Gdyby twa chusteczka była biała, myślałbym, że jesteś ta postać, która siedzi na kamieniu czarnym i za siostrę ma owieczkę małą.

Ardengo Soffici

## Luty

Słońce jest gorące jak w lecie, lecz dzika szalwia nie pachnie tak mocno. Towarzysz mój, chłopiec, wspiąwszy się na sosnę zbiera czerwone i twarde szyszki, które kładą mu ręce. Spomiędzy galezi ukazuje się rozświetlone wzgórze. Kilku wieśniaków bez koszuli obcina gałązki w zieleńjącym się polu. Szczęśliwa żółta koncha uprawionego terenu i szara winnica punktowana tu i ówdzie oliwkami. Ręce pachnące żywicą. Wioski w południe; szcęk nożyc, który wiatr przynosi. Szkarłatna szarfa wokół szyi chłopca, który śmieje się do słońca. I moje serce, które się budzi. Ptak gwizdże wśród janowca i jego gwizd brzmi jak pocałunek. Wiosna się zbliża, serce moje.



Rys. Zbigniew Strzałkowski

Sergio Corazzini

## Jałmużna słońca

Mały trędowaty staruszek, ty śnisz z rękami na brzuchu w cieniu podmiejskiej drogi pachnącej jaśminem, śnisz, że cię ukoronowano na króla królów!

Jest więc twoim królestwem — cudne królestwo, które płomienie jak stos? Czy te twoje krużganki wznoszą się na morzu?

A te okręty złote? Czy przywożą dla ciebie z bajecznych królestw w hołdzie dary wspaniałe? A ten blazen garbaty strojny w dzwoneczki srebrne opowiada ci oryginalną

Giuseppe Ungaretti

## Jestem stworzeniem

Jak ten kamień św. Michała taki zimny taki twardy taki wysuszony, taki oporny tak całkowicie życia pozbawiony jak ten kamień jest płacz mój którego się nie widzi

Śmierć opląca się życiem.

## Wdowy

Zimowy wiatr dmie i gwizdże wśród wikliny zdrętwiałego plotu. Dwa kulejące cienie spotykają się w mroku i zatrzymują się na środku ołowianej drogi. To stara Assunta, wdowa na pół głucha, cała ubrana na czarno, i stara Maksima na pół ślepa, tak samo ubrana czarno, wdowa od kilku dni. Obie mają grzałkę pod fartuchem, ale dygocą. Assunta. — Jak się czujecie? Maksima. — A jak bym mogła się czuć? Assunta. — Jesteśmy obie jak żdźbło trawy pośród pola: raz kołysze się w jedną stronę, raz w drugą. Maksima. — ...raz w jedną stronę, raz w drugą. Ech, to prawda! Assunta. — Najgorzej jest w nocy. W dzień się jakoś ruszamy; czas mija. Ale nocą nie ma z kim zamienić słowa. Mój pocelwy mąż mówił: „Ci chłopcy nie mają już bydła, trzeba by ten wóz naprawić i tak — to to, to owo... Ale teraz słyszeć, jak biją te wszystkie godziny!...“

# Z prądem i pod prąd

(Dokończenie ze str. 1)

sprzeczne. Przeciętny ciężar netto pociągu towarowego w Polsce wynosi 602 tony (trakcji parowej 543, elektrycznej 813), przeciętna szybkość pociągu towarowego 20,1 km/godz. (parowy — 17,7 km/godz., elektryczny 32,7). Nie są to dane oszałamiające przy wynikach uzyskiwanych we flocie rzecznej. Dziś bowiem nikt już nie pływa barkami 50-tonowymi. Flota rzeczna już przeszła na barki 350-tonowe, a obecnie przechodzi na 500-tonowe i większe. Model aktualny to zestaw składający się z dwóch barek po 600 ton każda i pchającego je motorowca, tzw. pchacza typu „Bizon” (o mocy 320—400 KM). Razem więc ładunek wynosi 1200 ton, załoga pchacza składa się z 3 osób (kapitan, sternik i motorzysta), a prędkość mniej więcej 15 km/godz. z prądem i 10 km/godz. pod prąd. Tak więc jeden pchacz z trzyosobową załogą zabiera tyle ładunku, co dwa przeciętne pociągi towarowe. A proszę policzyć, ile potrzeba ciężarówek i ilu ludzi dla przewiezienia 1200 ton! Jeśli zatem jest tak dobrze, dlaczego jest tak źle? Dlaczego tak niewielką ilość towarów transportujemy w Polsce wodami śródlądowymi?

Rozwój żeglugi śródlądowej w o-

kresie po 1945 r. nie przebiegał w sposób równomierny i właściwy. W okresie 1945—50 miała miejsce intensywne odbudowa żeglugi śródlądowej zarówno na Odrze jak i na Wiśle. Oczyszczono koryta rzek z wraków, odbudowano na nich urządzenia, odbudowano i uzbrojono porty rzeczne, stocznie, wyremontowano i wprowadzono do eksploatacji nadającą się do remontu część zniszczonego w czasie działań wojennych taboru pływającego, na rzece Odrze uzupełniono tabor holowniczy w drodze importu. Natomiast poczynając od 1951 r. rozpoczął się w żegludze śródlądowej okres stagnacji, który trwał do 1957 r. W okresie tym praktycznie zaprzestano inwestowania w żeglugę śródlądową. Przyczyną tej sytuacji było ocenianie celowości rozwoju żeglugi i inwestowania w nią na podstawie jej każdorazowych, aktualnych wyników bez analizowania przyczyn, które te aktualne wyniki spowodowały (...). Wysokie koszty eksploatacji i niskie koszty realizacji powodowały deficytowość żeglugi śródlądowej, która to deficytowość, będąc w przeważającej mierze wynikiem działania czynników od samej żeglugi śródlądowej niezależnych, a możliwych do usunięcia właśnie przez inwestowanie w nią, była niestety uważana jako przeszkoda w jej rozwoju.

Przełom w poglądach na celowość rozwoju żeglugi śródlądowej nastąpił dopiero w okresie 1957/58,

przy czym poważny udział w skrytykalizowaniu się nowych poglądów na rolę i znaczenie żeglugi śródlądowej, a zwłaszcza żeglugi na Odrze, miała sesja wyjazdowa polczonych Komisji Sejmowych: Żeglugi i Gospodarki Wodnej oraz Ziemi Zachodnich we Wrocławiu w grudniu 1957 r., a później Komisja Zagospodarowania Odry TRZZ... — piszą mgr Włodzimierz Przyłęcki i inż. Stanisław Budzio, urzędnicy Zjednoczenia Żeglugi Śródlądowej i Stoczni Rzecznych, w swej interesującej pracy pt. „Historia rozwoju i plany przyszłościowe żeglugi śródlądowej i stoczni rzecznych”, odbitej na prawach rękopisu, z którą to rozprawa umożliwił mi zapoznanie się.

Ilustracją tego rozwoju żeglugi śródlądowej po roku 1959 niech będzie statystyka. W r. 1957 przewieziono w Polsce wodami śródlądowymi 2 559 314 ton towarów (przy średniej odległości przewozu jednej tony 277 km), zaś w roku 1966 — 5 975 200 ton (średnio na odległość 295 km). Tak dużego skoku nie zanotował żaden inny rodzaj transportu. W r. 1960 mieliśmy 58 barek z własnym napędem, w r. 1966 — już 250 (o tonażu 17 950). Wzrosła również liczba barek bez napędu (w r. 1966 było ich 737, o tonażu 278 426) i statków pasażerskich (1966 r. — 101, z 18 626 miejscami pasażerskimi).

Wzrost tonażu i przewozów jest duży, w dalszym ciągu jednak procent towarów przewiezionych wodami śródlądowymi jest zbyt mały. Składa się na to szereg przyczyn, a główną jest nieprzystosowanie naszych wód śródlądowych do potrzeb współczesnej żeglugi. Jedyną rzeką, o której możemy powiedzieć, iż jest wykorzystywana dla żeglugi, to Odra. W roku bieżącym wprowadzono na niej pływające calodłobowe. W r. 1970 zostanie oddany do eksploatacji zbiornik wodny w Głębinowie i wtedy na Odrze powstaną stosunkowo dobre warunki nawigacyjne. Natomiast Wisła, kró-

lowa polskich rzek, płynąca przez środek kraju, przez regiony o szybko rozwijającym się przemyśle, jest znacznie mniej przystosowana do potrzeb współczesnej żeglugi. Przyczyn, o ile na dolnej Wiśle można pływać prawie przez cały czas, gdy rzeka nie jest zamrznięta, to na górnej Wiśle jest znacznie gorzej. Natomiast środkowa Wisła nie jest zagospodarowana do celów nawigacyjnych i nawet pewne roboty regulacyjne, prowadzone w rejonie Kazimierza, nie są w stanie zmienić tego obrazu. W rezultacie więc zarówno ruch towarowy jak pasażerski mają charakter lokalny. Nie ma żadnej istotnej żeglugi, która by łączyła Wisłę górną i dolną. Płytkie rozlewiska środkowej Wisły oddzielają nadwiślańską część Śląska i uprzemysłowane rejony Krakowskiego i Rzeszowskiego od Warszawy i od portu w Gdańsku. W r. 1966 44,1 proc. ładunków stanowiły piasek i żwir, natomiast węgiel kamienny tylko 16,4 proc.

Zaniechanie Wisły jako drogi wodnej datuje się od wielu lat, właściwie od czasu zaborów. Dziś w całej Europie, od Uralu po Atlantyk, nie ma ani jednej tak wielkiej, a tak nie przystosowanej do żeglugi rzeki. A obrazem tego nieprzystosowania może być fakt, że w porach suchych poziom wody w głównym korycie środkowej Wisły spada miejscami do 60, a nawet do 40 cm. Tymczasem duże jednostki pływające mają po 75—85 cm zanurzenia a nawet i więcej, zatem szlak żeglowny powinien mieć minimum metr głębokości. Bez uzyskania tego nie ma co marzyć o sensownym wykorzystaniu Wisły jako drogi wodnej.

Nie zanosi się, by w latach najbliższych stan ten uległ zasadniczej poprawie. Czy warto zatem zwracać czytelnikom głowę tym tematem? Warto. Głos dziennikarza nie jest tu nawet skromnym szepcym przy potężnym wolańiu przemysłu o zapewnienie mu możliwości przewożenia wielkich ładunków maso-

wych transportem rzeczonym. Szacuje się, że w roku 1985 zapotrzebowanie na transport Odrą wynosić będzie 20 mln ton, a na Wiśle — 17 mln ton. Elektrownia w Kozłenicach, która będzie największym tego typu zakładem w środkowej Polsce, ma otrzymywać węgiel drogą wodną z kopalni „Jaworzno”, podobnie jak i elektrownia Leg w Krakowie. Przy obu elektrowniach mają powstać tak zwane przeladunkowe zakłady, czyli własne porty. Zakłady Azotowe w Puławach rozważają wstępnie budowę (wspólnie z Żegluga Warszawska i Okręgowym Zarządkiem Wodnym w Puławach) portu o łącznej powierzchni tafli wodnej basenów około 14 ha. Przeladunkowe chcą budować: Nowa Huta, Siarka w Tarnobrzegu, Zakłady Chemiczne w Oświęcimiu, Zakłady Azotowe we Włocławku, kopalnia „Mysłowice” (przy skanalizowaniu odcinka Przemysły). Łącznie 15 wielkich przedsiębiorstw położonych nad Wisłą i Odrą chciałoby mieć do roku 1985 własne przeladunkowe o zdolności przeladunkowej około 12 mln ton rocznie. Potrzeby gospodarki narodowej wskazują także na konieczność wybudowania nowych i rozbudowy śródlądowych portów: Gliwice, Koźle, Wrocław, Oświęcim, Kraków, Nowa Huta, Sandomierz, Zerań, Toruń i Bydgoszcz — co orientacyjnie kosztowałoby 2210 mln zł. Jeśli do tego dodamy orientacyjny koszt budowy przeladunkowych zakładów (ok. 1200 mln zł), wyjdzie suma olbrzymia. A przecież to nie wszystko — bo trzeba wydać masę pieniędzy (nie ma jeszcze nawet szacunkowych kosztów) na całkowitą regulację naszych głównych śródlądowych magistrali wodnych. Na wszystko od razu nie wystarczy, musimy gospodarować oszczędnie, umieć wybrać najpierw, co najważniejsze. A co — to zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że budowa kaskad wodnych na Wiśle kosztuje ok. 2000 mln zł pomiędzy Włocławkiem a Cielochocimem usprawniłaby całkowicie ze-

**GLADANE** wcześniej pocztówki na doskonałym papierze kodak-color kuszą; pojechać, zobaczyć, tyle piękna, oszalała gra barw. I stereotypy: Rzym — wieczne miasto, ojczyzna Wergiliusza, Owidiusza, Leonarda, Michała Anioła, Giotta i tylu innych; Wenecja — plac Świętego Marka, Bazylika, pałac Dożów i kawałek życia Casanovy. Piza — wiadomo. I współczesne całkiem zapamiętanie: orłony, akrylony, modylony i tyle innych „onów” migoczących w komisyjnym świetle. I oczywiście marzenie wyższego pułapu malej stabilizacji: „Fiaty”. Ogólnodostępne, tanie, wygodne. Nagromadziło się tego w bagażu pamięci sporo. Więc decyzja: pojechać, zobaczyć, dotknąć.

Od początku zdziwienie, przechodzące w konsternację. Farbkowe kolory są tylko na pocztówkach, a tak „na optykę”, to całkiem zwyczajnie. Nawet za bardzo zwyczajnie, bo brudno. Ulice zaśmiecone, sprzątających nie widać, a samochody ciągną za sobą kłęb gazet, ulotek i innych papierów. Dużo. I jednych i drugich. Tych drugich zresztą znacznie więcej: trwa właśnie strajk prasy włoskiej. Instrumentem informacji politycznej jest głównie ulotka i plakat. Demonstrują one idealną koegzystencję. Na murze olbrzymie zdjęcie Roberta Kennedy'ego z zawiadomieniem o śmierci i nabożeństwie żałobnym, podpisane przez biuro partii chrześcijańsko-demokratycznej, obok podobny plakat, na którym okręgowy komitet partii komunistycznej obelżyła ta zbrodnia rasistowskie, ekstremistyczne elementy USA, a tuż pod tymi dwoma jeszcze jeden, chyba największy, choć nie „autoryzowany”. Krzyczy wielkimi literami: „spisek komunistyczny trwa! J. Kennedy, M. L. King, R. Kennedy — kto następny?” Obok mnie rodak cmoka z zachwytem: cy, cy, oto proszę pana, demokracja! Każdy może wypowiedzieć swoje poglądy i nie potrzebuje się niczego obawiać. Tuż obok drugi rodak, tylko tubylec od dwudziestu paru lat, z spróbatą kiwa głową. Temu drugiemu, to się nie dziwie, ale pierwszy dopiero co wyjechał z kraju i natychmiast zaczyna — jak by to powiedział Szejwk — bałwanic. Bo w tym demokratycznym kraju dziennikarze próbujący pisać rzetelną prawdę otrzymują listy zawierające groźby, spełniane zresztą od czasu do czasu — dla przykładu. Bo w tym demokratycznym kraju kilkaset metrów przed miejscem wiecu, na którym przemawiał młody Pajetta, bojówki Socjalnego Ruchu Młodzieży nie dopuszczają tych, którzy chcieli w nim wziąć udział. Socjalny Ruch Młodzieży — taka ładna nazwa; a dotyczy po prostu faszystowskich bojówek. I policjant sennie regulujący natężenie strumienia samochodów. Demokracja.

Ilość samochodów zwiększa się pod wieczór. Między szóstą a siódmą, kiedy kończy się dzień pracy i wszyscy wracają do domów, warczą, smrodliwy bezchmurny szczyt. Półtora, dwukilometrowe korki są rzeczą zwyczajną. Setki,

tyśiące blaszanych pudełek, a w każdym przeważnie jedna, pływająca we własnym sosie rybka. Reklama wmożliwa wszystkim i każdemu z osobna, że człowiek bez samochodu należy do niższego, gorszego gatunku. Że życie bez czaru czterech kółek jest szare, bezbarwne i bezwartościowe. Więc na przykład Mediolan ma blisko dwa miliony mieszkańców i milion sto sześćdziesiąt tysięcy samochodów. Żyć więc z samochodem jest może i ciekawiej, ale na pewno trudniej.

Większość ulic jednokierunkowa, znaki na ogół zabraniające postojów. Ale samochody się stawia, nie tam, gdzie można, tam, gdzie trzeba. Co najwyżej obieca się świeczkę władcemu świętemu odpowiedzialnemu za resort motoryzacji, żeby nie napaloczył się policjant z mandatem. Ponieważ świeczka kosztuje najwyżej sto lirów, a mandat 1000,

nili chrześcijańskim obyczajem znak krzyża, nie dostrzegłem. Co kraj to obyczaj!

Ale przecież było o samochodach. Latwość ich nabycia jest wielka. Posiadając 30 000 lirów, tzn. około 50 dolarów, oraz zaświadczenie stałej pracy, można stać się posiadaczem „Fiata-600” na raty. I teraz zaczyna się bardzo włoska historia. Klient bierze samochód, jeździ nim, a wezwania do płacenia rat wrzuca do kosza. Po kilku miesiącach zaczyna go poszukiwać agent firmy, która sprzedała wóz, ale wtedy należy go unikać. Po roku, czasem trochę wcześniej, agent dopadnie wreszcie nabywcę, więc ten mu oddaje swoje czterokołowe szczęście. Włoskie prawo nie przewiduje możliwości egzekwowania należności za okres eksploatacji samochodu nabytego na raty, za czas kiedy się ich nie płaciło. Więc w kilka dni

stawa, prywatnie ponoszone koszty nauki, opieki lekarskiej. Kolonie dla dzieci i wczesny znany tylko z lektury. Ale i podziw bierze. Tak zestrojonego choru igrzysz nie wytworzył najbardziej totalitarny komunizm — żeby się posłużyć językiem wolnoeuropejskim.

Staram się to trochę zrozumieć. Gigantomania leży chyba po części w naturze ludzi tego kraju. Gigantyczne, oszpecające wzgórza Kapitolu mauzoleum Emmanuela II, niestety zresztą nie służące, bo władca ten spoczywa w Panteonie, jest jednym z nowszych osiągnięć. Ale tradycje sięgają dużo głębiej. Cyrk Flawiuszów, czyli Colosseum, pochodzące z I w.n.e., ma przecież kształt elipsy o wymiarach 198 na 150 metrów, katedra w Mediolanie, budowana w latach 1396—1810, może zmieścić 40 tysięcy wiernych (ale chyba nigdy ich tylu jedno-

Franciszek Ceglak

## odejścia

a gdy oddali nas już czas i z ciepłem odejść ulice dzwonnosielone światło tu przed podzamczem twoich okien nakładał będąc

i znów na Grodzkiej będzie słońce ułożę na poręczach palce twoich dotknięć

uśmiechnij się czarnym Sanem oczu nie czas to drzewa wzięły się za lby zachodu biegun złocą

to nie że jesień na widokówkach

mam przecież twoje zdjęcie na tle Rynku

Przemysli

# Italia na wysoki połysk

Jerzy Mak

więc to się zawsze oplaca. Co prawda na jednego tylko świętego wypada zbyt wielu policjantów i samochodów, toteż rzecz nie zawsze się udaje. Ale wtedy płaci się mandat, a świętemu wymyśla. Taki już obyczaj, że świętych traktuje się po trosze jak dobrych znajomych, a jednocześnie dość wysokich urzędników, którzy mogą załatwić wiele ważnych spraw. Jeżeli załatwią, to pójdzie się z nimi na wódkę, a jeżeli nie, to zawsze można ich obśmagać i... zmienić znajomości.

Mieszkałem w Rzymie na terenie parafii św. Antoniego, a że było to w pierwszą niedzielę po dniu tego znanego poszukiwacza zbug, więc i feta była nielicha. Od rana wąskimi uliczkami zatybrańskiej parafii maszerowała orkiestra grająca skoczne marsze, a w kościele odprawiano nabożeństwo. Na wpół do siódmej po południu zapowiedziano procesję. Przed kościołem ustawiły się białe ubrane dzieci, chorągwie kościelne, zakonniczy i zakonniczy z zapalonymi świecami i ta sama orkiestra. Na placu przed kościołem niewielki tłumek trwał w nabożnym skupieniu. Po chwili wyszedł ksiądz z monstrancją. Na placu napięcie wzrosło. Za chwilę w drzwiach kościoła ukazała się niesiona na specjalnym podeście figura patrona parafii. I wtedy stało się coś, do czego polskie oko i ucho nie są zupełnie nawykłe. Orkiestra z przejęciem zaczęła wesołego marsza, lud zafalował i rozległy się spontaniczne, gromkie oklaski, którym towarzyszyły okrzyki „evviva santa Antonio!” I tak to trwało przez całą procesję. Ludzie wychylający się z okien, stojący pod ścianami domów, przypadkowi przechodnie żywiołowo pozdrawiają figurę. Takich, którzy by przyklekali lub czy-

później można iść do sklepu i na tej samej zasadzie kupić sobie drugi pojazd, Rodak cmokier (cholera, przyplątał się i razem lazimy — może zresztą lepiej, bo jest do kogo gębę otworzyć) zaczyna nową płytę o dobrobycie. Szukam więc tego, kto albo zwirował, albo ma w tym swój byznes. „Fiat” jest samochodem, który na wodę nie jeździ. A litr benzyny kosztuje 135 lirów, czyli około 24 centów USA. Fiat (firma) ma swoje nieliczne udziały w przedsiębiorstwach produkujących materiały pędne. I chociaż sprzedawane są przez wiele konkurencyjnych firm: Shell, Agip, Fiat, Esso i wiele innych to z każdej z nich filuternie mruga do mnie neon: „olio-Fiat”. Cyrkiel zrobił swoje pełne 360 stopni. Basta.

Dopytujemy się teraz o zarobki. Rozmówcy różni: Polacy tam osiadli, Włosi ze sfer inteligenckich, profesjonalni przewodnicy. Według nich klerowca zarabia około 150 tysięcy lirów, robotnik wykwalifikowany (ślusarz, tokarz), do 200, urzędnik do 250. Oczywiście mieszkanie są drogie — 5 do 15 tysięcy lirów — ale będą tańsze. Klamią. Z trudem to weryfikujemy. Robotnik niewykwalifikowany zarabia około 40 tysięcy lirów, wykwalifikowany do 90, urzędnik do 120. Średnia zarobków w roku 1967 w północnych Włoszech wynosiła 140 tysięcy lirów. W południowych — 100 tysięcy. Koszty utrzymania? Za trzypokojowe mieszkanie w centrum Rzymu trzeba płacić 50—60 tysięcy lirów miesięcznie, na przedmieściach — 20 do 30 tysięcy. Kilogram mięsa kosztuje 3 do 4 tysięcy, kilogram sera — 2,5 do 3,5 tysiąca, kilogram ryby 1200—1500 lirów. Za użytkowaną (bardzo oszczędnie) energię elektryczną rachunek wynosi 6 do 9 tysięcy lirów. Dodajmy: pełnopłatne lekar-

cznie tam nie było), a można w okresie Odrodzenia florencki ród Pittlich budując pałac kazal Bruno-Leschium zaprojektować w nim tak duże okna, jak duże były drzwi w pałacu konkurencyjnej rodziny Medyceuszów.

Musi więc w Italii być wszystko naj. Najjaśniejsze słońce, najlepsze warunki dla malarzy, najpiękniejsza dziewczyna, najwspanialsze budowle i dzieła sztuki, naj... Wszystko dla potrzeb i wedle gustu pana turysty. O, bo pan turysta to nie byle kto! W ubiegłym roku powieilił się w tym kraju w dwudziestu milionach egzemplarzy. Pożądane zaś jest bardzo dalsze jego rozmnożenie. Pan turysta zostawia bowiem pieniądze, na panu turystyce opiera się prawie 25 proc. budżetu republiki. No i plynie z niego niezły profit dla jej obywateli. Piza jest 100-tysięcznym miastem. Odwiedziło to w 1967 r. 5 milionów obokrajowców. Oczywiście po to, by obejrzeć krzywą wieżę, no i przecież wejść na nią. Policzyli tylko to. 200 lirów (bilet wstępu) pomnożone przez 5 000 000 równa się 1 000 000 000 lirów. Kto mocny w rachunkach niech przelicza dalej: 1 dolar USA równa się 620 lirom. Nakłady inwestycyjne: dwóch panów, z których jeden sprzedaje bilety, a drugi je przerywa.

Tych kilka spraw, czy może raczej odczuć, nie oznacza wcale zamkniętej kompozycji. Trzy tygodnie to dużo, ale też i bardzo mało. Niewykluczone, że właśnie dlatego wrażenia są takie, jak z kąpieli w Morzu Tyrreńskim: ogromna mroźność i kuszący chłód, że sam widok zniechęca do zanurzenia się. Po wejściu do wody taka słoność wdziera się do nosa, uszu i gardła, że czym prędzej z niej uciekasz. Trudno, tylko 21 dni, ale pocztówki bardzo wyblakły.

Cyprian Czernik

Przed nami przeszli tędy ludzie — została po nich w oknie krata, ślad ognia w skamieniałej grudzie i wyszczerbiony topór kata.

Choć ciała dawno czas spopielił nasłuchujemy czegoś w echu — mówimy o nich jak o grzechu, ścisząc głos, by nie słyszeli.

## Wiersz prosty

Odysowi śpiewała syrena,  
Orfeuszowi zawodziły drzewa,  
Roland dał w trąbę,  
Cham w złoty róg,  
Apokalipsie szeptał kruk.

Dzisiaj słyszałem jak grzmiały  
elektronowe cymbały.

Kraków

glugę na całej dolnej Wiśle. Inni specjaliści głoszą, że najpierw należy uregulować środkową Wisłę i poprawić stan żeglowności na górnej Wiśle kosztem ok. 1500 mln zł, przez co rzeka nadal daleka będzie od ideału i nadal może przysparzać kłopotów, ale w każdym razie umożliwi żeglugę na całym odcinku uznawanym za żeglowny. Rzecz idzie o miliardy złotych, nie można tych pieniędzy lekkomyślnie wydać, zagadnienie badane jest więc bardzo skrupulatnie. A ponieważ decyzji wiążących jeszcze nie ma, więc zakłady przemysłowe leżące nad Wisłą, na wszelki wypadek budują sobie solidne bocznice kolejowe i zaopatrują się w tabor samochodowy. Drożej, to drożej, lecz pewnie. A jak przemysł ma transport ładowy i wyład na pieniądze, to trudniej dobić się o środki na regulację rzeki. Stąd może problem, choć pałacy, nie wygląda na pałac. Lecz od czasu do czasu, zwłaszcza w okresie jesiennych przewozów, gdy transport kolejowy i samochodowy jest przeciążony ponad wszelką miarę, sprawa daje o sobie znać. I mimo rozwoju transportu kolejowego dawać będzie coraz bardziej, gdyż nad Wisłą powstają wielkie zakłady przemysłowe, które będą wysyłały i przyjmowały setki tysięcy ton towaru rocznie. Tego dodatkowego ciężaru nie udźwignie ani kolej, ani komunikacja samochodowa. Ministerstwo Przemysłu Chemicznego powołało swego specjalnego pełnomocnika do spraw transportu rzeczno — co chyba dowodzi dobitnie, że waga tej sprawy rośnie. Ministerstwo Żeglugi zwróciło ostatnio szczególną uwagę na budowę w portach morskich urzędów do przeladunku towarów z jednostek rzecznych na morskie i oceaniczne. Obecnie urzędzenia takie montuje się w Szczecinie i w Swinoujściu.

Gospodarkę narodową czeka zatem poważny wysiłek inwestycyjny w rozwój żeglugi śródlądowej. Wysiłek w sumie na pewno opłacalny. Trzeba sobie przy tym zdać sprawę,

że niezależnie od żeglugi rzecznej należy liczyć poważne kwoty na takie prace na rzekach, jak zabezpieczenie przeciwpowodziowe, zbiorniki retencyjne, dostarczenie wody dla przemysłu, dla rolnictwa i dla celów spożywczych oraz zapewnienie rzecze dostatecznej ilości wody, aby można było spuszczać do niej ścieki (tak, tak, niestety), wreszcie likwidacja szkód wywołanych podmywaniem brzegów. Racjonalna gospodarka wymaga takiej regulacji rzeki, aby spełniała ona te wszystkie potrzeby jednocześnie.

Dla przykładu można pokazać działalność Okręgowego Zarządu Wodnego w Puławach, który nadzoruje oba brzoja Wisły od 295,2 kilometra (od ujścia Sanu) do 456 (do ujścia Pilicy), następnie graniczny odcinek Bugu, Wieprz (od ujścia do 127 km w górę) i całą Kamienną. Obecnie OZW prowadzi systematyczną regulację Wisły od 325 do 378 km — na pozostałym odcinku prowadzi tylko prace interwencyjne. Łącznie na regulację i usuwanie zniszczeń brzegu wydało około 45 mln zł rocznie. Suma duża, lecz niewspółmiernie mała do potrzeb, gdyż regulacja całego odcinka podlegającego Zarządowi w Puławach kosztowałaby ma szacunkowo około 900 mln zł. Jeśli dotacje nie będą zwiększane się wyraźnie, to za ile lat dołączymy się całkowicie regulacji tego odcinka? W sumy podane wyżej nie wchodzi koszt budowy wałów przeciwpowodziowych (finansują je wojewódzkie zarządy melioracji wodnych) i koszty wytyczenia szlaku wodnego. Tu znów wyjaśnienie: strażnicy wodni muszą codziennie przepłynąć całą Wisłę, wysondować i wytyczyć szlak żeglowny. Każdy strażnik ma odcinek długości 5 km.

Pisząc o żegludze śródlądowej należałoby właściwie co zdanie udzielać informacji. Opinia publiczna w kraju jest chyba dobrze poinformowana o sprawach morza, naszego Wybrzeża, rozwoju floty oceanicznej, życiu marynarzy i da-

lekich rejsach. Ma natomiast znikomą wiadomość o ludziach pracujących na słodkich wodach. Gdy zapyta o największe zakłady pracy w województwie, mało kto wymieniłby puławski OZW, zatrudniający przecież w sezonie około 1200 osób. Mało się u nas mówi i pisze o wodniakach pływających statkami pasażerskimi, holownikami i barkami. Ci ostatni, to niemal egzotyczny samotnicy. Każda barka holowana ma jednoosobową załogę. Gdy woda jest głęboka, to ta załoga (czyli „ten” załoga) nie robi nic, plynie i może opałać się, gdy płytka — haruje jak koń, odpychając dragami wypelnioną barkę od mierzli. Ale zawsze sam, bo nie wolno mu przejść na drugą barkę, do kolegi, w nocy śpi na swojej, bo odpowiada za nią — a rejsy trwają nieraz całe tygodnie.

Egzotyki na naszych rzekach jest wiele. Wielbiciele westernów oglądają nieraz w kinie wielkie parowe statki, łopatkowce, bocznokolowce, jakie pływały po Missisipi w XIX w. Komin dymił jak cegielnia, na pokładach spacerowano i wzdychano do księżycy. Podobne statki pływają do dziś na naszych rzekach. Największy z nich — „Baityk” — zabiera 500 osób i ma 110 miejsc sypialnych. Bocznokolowiec parowy „Traugutt”, który kursuje z Warszawy do Kazimierza, ma 450 miejsc pasażerskich oraz 80 sypialnych. Z Kazimierza wyrusza o 11.30 i o 22.00 jest w Warszawie. Z Warszawy odbija następnego dnia o 13.30 i jeszcze następnego o 7 rano jest w Kazimierzu. Bilet kosztuje 55 zł, dopłata za miejsce sypialne 40 zł, na statku jest restauracja II klasy oraz bufet czynny całą noc. „Traugutt” ma wielkie powodzenie, niestety kursuje tylko od połowy kwietnia do końca maja, a potem, ze względu na niski stan wody, służy jako pływający dom wczasowy na dolnej Wiśle. Na środkowej Wiśle pozostają tylko nowoczesne motorowce „Wodnik” i „Marzanna” (po 203 miejsca każdy), kursujące pomiędzy Puławami i Kazimie-

rzem oraz tejsze wielkości „Majka”, odbywająca rejsy spacerowe pod Sandomierzem. W II kwartale 1968 r. „Wodnik” i „Marzanna” przewiozły 49 821 pasażerów. W niedzielę 7 czerwca „Wodnik” przewiózł ponad 1300 osób. Niestety, w poniedziałek, 8 czerwca, poziom wody obniżył się o metr i statek nie popłynął już do Puław.

Wszystko zatem rozbija się o stan wody. Wisła miejscami rozlewa się na 2 km szerokości, ale staje się przy tym brodzikiem dla dzieci. Plany regulacyjne puławskiego OZW przewidują, że do ujścia Kamiennej Wisły powinna mieć przeciętnie 180 m szerokości, do ujścia Wieprza 190, dalej 205 m. Przy brzegowej wodzie (1,5 m powyżej normalnej) Wisła powinna mieć 340 m szerokości, a przy wielkiej wodzie powodziowej, czyli od wału do wału — 940 m szerokości.

Jak się już jednak rzekło, ze względu na wysoki koszt nie zanoszą się, by regulacja całkowita nastąpiła szybko. A póki nie jest uregulowana Wisła, nie ma co marzyć o regulacji rzek mniejszych potrzebnych do transportu, jak Bug czy odcinek Sanu. (Naraw, po wzniesieniu zapory w Dębem, stała się żeglowna do Ostrołęki, przy czym do Pułtuska ma lepszy stan wody niż Wisła). Plany polskie mogą zmienić jednak prace wodne na innych rzekach europejskich, a przede wszystkim na Dunaju. W budowie jest kanał Ren—Men—Dunaj, a planowany kanał Dunaj—Odra—Laba. Gdyby doszło do połączenia Odry z Dunajem, niewątpliwie należałoby pomyśleć i o budowie kanału Odra—Wisła (pomocny Raciborzem i Oświęcimem). Związek Radziecki, który zwiększa swoją wymianę towarową zarówno z Polską jak i z Europą zachodnią, z pewnością chętnie skorzystałby (i płacił nam za tranzyt) z uregulowania części Bugu, przez który uzyskalby połączenie z Wisłą, Kanałem Bydgoskim, Odrą i rzekami Europy zachodniej. Z trasy takiej

korzystałaby też flota rzeczna krajów zachodnich. My przez Bug moglibyśmy wtedy sprowadzać ze Związku Radzieckiego rudę do Nowej Huty. W takim wypadku niewykluczone byłoby zbudowanie (zamiast regulacji końcowej części Bugu) kanału Terespol—Dęblin, z wykorzystaniem końcowych odcinków Wieprza i Krzyny.

Temat jest szeroki, a ja nie stawiam sobie zadania wyczerpania go. Chcę po prostu zasygnalizować pewne problemy. Przedstawiam je w sposób uproszczony, a zatem i nie zawsze we właściwych proporcjach.

Jedno jest pewne: oczekuje nas szybki rozwój żeglugi śródlądowej, który będzie widoczny zapewne szczególnie wyraźnie na Wiśle, zwłaszcza środkowej. W Sandomierzu ma powstać muzeum Wisły. Ekspozycja nie zabraknie. Zaliczono do nich zostanie niewątpliwie holownik „Wanda”, parowiec bocznokolowy, zbudowany w roku 1907 przez firmę „Zieleniewski” w Krakowie i do dziś idealnie kursujący pod dowództwem kpt. Bolesława Szczerbalki. Ale królowa polskich rzek nie stanie się ekspozycją muzealnym. Wielka kariera dopiero ją czeka. Wydaje mi się, że jednak i obecnie Wisła mogłaby być lepiej wykorzystywana. W 1966 r. województwo lubelskie nadało łącznie 846 ton ładunku. To śmiesznie mało, nawet jeśli się weźmie pod uwagę, że przyjęło 27 087 ton (głównie materiałów do regulacji Wisły i wielkich elementów do budowy Azotów). Kiełkie, korzystające z tego samego prawie odcinka Wisły nadało 347 551 ton, a przyjęło 170 117.

Nie wykorzystana jest też Wisła należąca jako teren wypoczynku i sportów wodnych. Ale to już osobny temat.

Romuald Wiśniewski



IST zaczął się od wielu niezrozumiałych słów i takimi się kończył. Tekst miejscami niezrozumiały, tu i ówdzie rozmazany wodą, pismo drobne, papier zszarzał od osiadłego kurzu, sztywne, po jednej stronie silnie poślizgnięte, jakby wyciągnięte z kosza na odpady — to zauważyłem i zdążyłem ocenić. Odkryłem go w najtajniejszej kieszeni ubrania mego, tam gdzie nikt obcy wcisnąć mi go nie mógł się ośmielić — a przecież się ośmielił — w czasie najbardziej nieodpowiednim z czasów, bowiem podczas jednej z tych słodkich chwil nieuzasadnionej pewności siebie, co przychodził niekiedy wraz z budzącym się nagle i wciąż narastającym totem serca, które już wie, że nie należy im dowieść.

Właśnie chciałem zapłacić za kartę wstępu do wnętrza znajdującej się przede mną sali i w poszukiwaniu pieniędzy równie długo jak bezskutecznie przetrząsałem wszystkie kieszenie, kiedy naraz w miejscu spodziewanego banknotu wymacałem złożony kilkakrotnie świstek brudnego papieru. Wyjąłem go na przyemilone światło z tą naiwną pewnością siebie, co każde uznawać za własne przedmioty bliskie ciału i — co gorza — w głębokim przekonaniu, że jest to jakies stare, zapomniane pokwitowanie lub dawno uregulowany rachunek. Istotnie list okazał się rachunkiem, ale innego rodzaju; ten rachunek wymagał uregulowania. Trzymałem przed sobą wyglądającą kartkę, obracałem ją w spoconych palcach i na próżno wciągałem od nowa odczytywałem znaną już, niezrozumiałą treść. Na wstępie szeregu luźnych, bezładnych słów, szereg zdań czytelnych wprawdzie, lecz myśli niesprecyzowanych; dalej odcyfrowanie czegokolwiek stało się niemożliwe. Na drugiej stronie odczytałem coś, co mnie zaniepokoiło: „...bo wiem wszystko i nie myśl, że będę ukrywał. Wkrótce... w zbieraniu dowodów przeciwko tobie. Co prawda... ale i tak... i nie unikniesz śmierci”. Następujący po tym fragment listu okazał się prawie zupełnie niezrozumiały. Z trudem udało mi się odcyfrować kilka zaledwie słów: „(...) ujawnisz... choć może to być... władzom... ale zgodne...” — brzmiał ocalony strzępek zdania — „albo... wybieraj!”

Anonim — przemknęło mi. Pobiegłem wzrokiem do ostatnich wierszy — poniżej czysta strona, brak godła, podpisu brak, nie mogłem już dłużej wątpić: miałem przed sobą anonim. Czyżby ktoś wiedział coś o mnie i sądził, że może mnie zdemaskować? Rażony tym przypuszczeniem wróciłem pamięcią niemal do chwili swych narodzin i począwszy od czasów najbardziej odległych, gubiąc się w licznych i trwożnych domysłach, zagłębiałem się myślą w najciemniejsze zakamarki życia mego — przecież daremnie, bo nie znajdowałem niczego nigdzie, co by usprawiedliwiało brutalność stawianej mi alternatywy. Gdybym wiedział przynajmniej między czym mam wybierać.

Naraz w grupie zebranych przed wejściem do sali ludzi zauważyłem mężczyznę, który wydał mi się znajomy. Nie pamiętałem już jego nazwiska, ale kiedy oczy nasze spotkały się na moment, dostrzegłem w jego spojrzeniu coś jakby powitalne zmrużenie powiek. Ośmielony tym skinąłem mu lekko głową i skierowałem się do miejsca, w którym stał, lecz on widocznie w ogóle mnie nie zauważył, bo powoli zaczął się oddalać. Bogoniłem go w połowie korytarza i zrównawszy się z nim próbowałem nawiązać rozmowę, którą zacząłem od kilku zwykłych słów powitania, jakie się wypowiada przy podobnych okazjach. Odpowiedział mi niechętnie, jak gdyby z przymusem, który zresztą przychodził mi z widocznym trudem. Wyraźnie chciał się mnie pozbyć. Domysliłem się, że pragnie uniknąć nudnie zapowiadającej się rozmowy, która co najwyżej mogła doprowadzić do ustalenia miejsca i czasu naszego zapomnianego już dawno spotkania, co nie musiało być ani interesujące, ani pożyteczne dla nas obu. Z tego więc powodu postanowiłem przejść od razu do sprawy, dla której zdecydowałem się go niepokoić.

— Dostałem anonim — powiedziałem spokojnym tonem, bacznie go obserwując. Czy drgnął — nie zauważyłem tego. Szedł z głową pochyloną, z wzrokiem utkwionym w posadze uważnie odmierzał długość kroku, tak aby stopy trafiały dokładnie między spojenia sąsiednich płyt — nic nie odpowiedział.

— Mówię, że dostałem anonim! — powtórzyłem, tym razem już z nutą niecierpliwości w głosie.

— Słyszysz przecież — rzekł, zatrzymał się — tak... — mruknął. — Czy musi mi pan o tym mówić?

— Stanąłem przed nim. Zapiął ostatni guzik u marynarki i podał mi rękę. Odchodząc spojrział mi po raz pierwszy w oczy.

— Pan wybacz, bardzo się spieszę — powiedział. — Co ja mogę panu pomóc? — Uśmiechnął się smutno. — Nie mam wpływu... żadnego — dodał, już idąc.

— Ale pan mnie nie zrozumiał! — krzyknąłem z nim. Zwołał. Odsunawszy się pod ścianę — środkiem przechodziła grupa rozbawionych mężczyzn i kobiet — rozdeptał nogą niedopałek papierosa.

— Właśnie przed chwilą...! — powiedziałem, podbiegając do niego. — Nigdy bym się tego nie spodziewał. Taki cios... za co? Niech pan spojrzy, co znalazłem w swej kieszeni. Tutaj przechowuję dokumenty (zaczęłem wymawiać różne zaświadczenia i pokwitowania — wszystko to kładłem sobie na dłoń). No, niech pan sam zobaczy. Do tej kieszeni nie tak łatwo coś wcisnąć... Guzik był zapięty, a jednak...

— Patrzał w stronę drzwi, skąd ktoś przywoływał go do siebie. Mięśnie jego twarzy — dostrzegłem to spod chusteczki, którą wycierałem sobie spoczone czoło — napięły się na moment i natychmiast rozluźniły.

— Ale ja jestem przekonany, że nie zasłużyłem na żaden donos — powiedziałem urażonym głosem. — Nikt mi niczego nie może zarzucić.

— To czego się pan właśnie obawia? — zapytał. Poklepał mnie po ramieniu i odszedł.

Na korytarzu, wiodącym do mojego mieszkania, natknąłem się na dozorczynię.

— Mizernie pan dzisiaj wygląda — usły-

szalem na powitanie jej niski głos. — Chyba coś pana męczy?

— Właśnie — podchwycyłem skwapliwie. — Dostałem anonim. Niczego złego nikomu nie zrobiłem, a tu nagłe...

— Anonim? — zdziwiła się. — A od kogo ten anonim?

— Tego nie wiem. Gdybym wiedział, nie byłoby anonimem.

— No pewnie! — Przeszła zamiatając i wpatrywała się we mnie z głębokim namysłem. — To nie do końca chyba... — powiedziała, a na jej twarzy odmalowało się szczerze współczucie.

— Żeby pani wiedziała, jak się zdenerwowałem.

— I to musiało pana spotkać, jak by nie dość było zmartwieć.

— Ktoś chce mnie zniszczyć. Ale dlaczego?

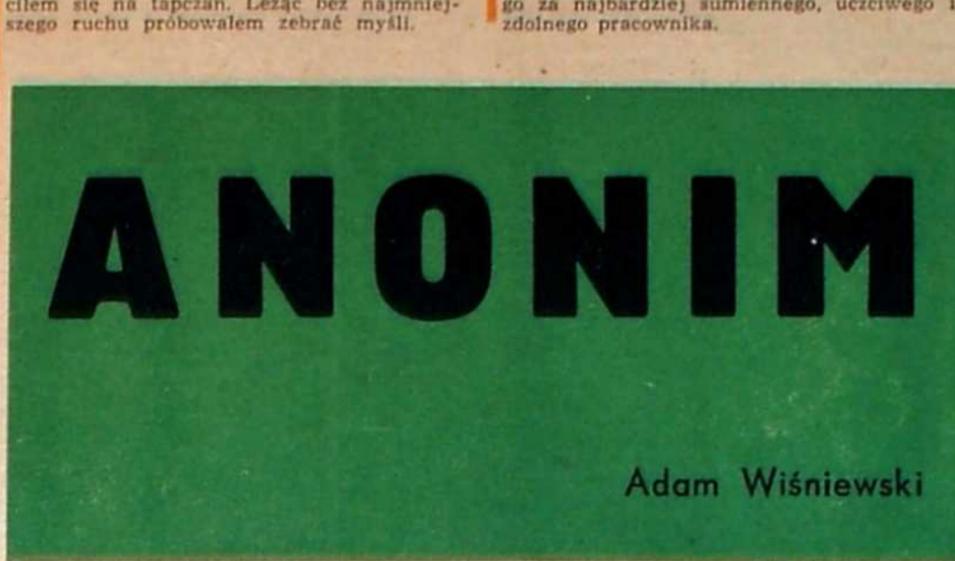
— Znajomi panu pomogą — próbowała mnie pocieszać. — Ma pan przyjaciół?

— Widzi pani, to nie jest takie proste. Anonim może napisać nawet największy przyjaciel.

— Skinęła głową ze zrozumieniem.

— Takie nieszczęście! — szepnęła.

Przekręciłem klucz w zamku i wszedłem do swojego mieszkania. Tak, jak stałem, w butach i w płaszczu, którego pasek zbyt mocno zacisnięty wpisał mi się w ciało, rzuciłem się na tapczan. Leżąc bez najmniejszego ruchu próbowałem zebrać myśli.



Adam Wiśniewski

Kto? — zadałem sobie pytanie. Nielatwo było na nie odpowiedzieć. Ujrzałem się otoczonym przez ludzi szczerze zaskoczonych i współczujących mi w nieszczęściu, które tak niespodziewanie na mnie spadło; wśród licznych domysłów podsuwali mi oni różne najmniej prawdopodobne przypuszczenia, które kolejno musiałem odrzucać. Myślałem o osobach bardziej i mniej znajomych. Ukazywały mi się one takimi, jakimi je widziałem czasami, w scenach zbyt dosłownych, dowolnie wybranych, w pozach całkiem przypadkowych i fragmentarycznych, chociaż fotograficznie wiernych. Była tam czyjaś ręka wyciągnięta na powitanie i uścisk poparty przyjaznym słowem; twarz pochylona gdzieś nad małym stołkiem znana mi ze zdjęcia; czyjś uniesiony głos dobiegający zza drzwi nagle uchylonych; jakies porozumiewawcze zmrużenie oka w ciemnym korytarzu, po zdarzeniu, którego byłem świadkiem; uszczypliwy żart jeszcze nie zapomniany; jakies wymowne milczenie; scena pożegnania; długa rozmowa, która miała mnie przekonać o czymś — wszystko, co wiernie zachowała moja pamięć, bez wyjątku ku temu potrzebne. Śledząc ów chaotyczny ciąg przekształceń mojego wzburzonego umysłu, mogłem się co najwyżej dziwić, czemu wyobrażenia podsuwa mi wspomnienia sytuacji tak mało istotnych. Bo wśród tych migawkowych obrazów nie mogłem się doszukać właściwej odpowiedzi. Jeszcze tego samego dnia wieczorem odwiedził mnie znajomi.

— Wyobraźcie sobie... — zacząłem.

— Wiemy już, wiemy! — powiedziała Hanka.

Teresa bez słowa wyciągnęła rękę. Podałem jej starannie złożoną kartkę.

— Tylko nie wygniećcie — zaznaczyłem.

— Zaraz... — powiedziała, kiedy wszyscy pochyliłi nad anonimem. — Co to za bagno? Tego nie można odczytać.

— Wacław zabrał jej przez ramie.

— Początek zupełnie bez sensu — przyznał. — Ale spojrzcie tutaj. ... potępiam cieni... w głąb milczenia... Chwileczkę. To przy odrobinie dobrej woli i wyobraźni da się odczytać: „Ja nie potępiam cieni spływających w głąb milczenia nocą... ani obłaskawionego krzyku...”

— To nieważne! — przerwałem mu. — O, tutaj dopiero się zaczyna: „...bo wiem wszystko i nie myśl, że będę ukrywał...”

— Co nieważne? — zaperzył się. Zabrał kartkę i odszedł z nią na bok. — Zaraz się okaże, co tutaj jest ważne.

— Poczekajcie, aż przeczyta.

— Skąd wytrzasnąłeś? — spytał takim tonem, jak gdyby zamierzał zaopatrzyć się w coś podobnego.

— No przecież to jest ten anonim, który otrzymałem — odpowiedziałem zrytowany.

— Bardzo dziwny anonim — powiedział. Zaczął przechadzać się po pokoju — Atrament zupełnie wyblakły. Papier musiał leżeć bardzo długo na słońcu, bo inaczej tak by nie żółkł. Ale przede wszystkim tekst... Jest mało czytelny i można go różnie interpretować. I uparłem się, że to ma być zapowiedź denuncjacji? Słowo daję, to jakis kawał. Powiedz, kto i w jakim celu podał ten papier takim torturom. Żeby ci utrudnić odczytanie?

— Poczułem, że grozi mi śmieśność.

— Eee... dajcie mi spokój! — rzuciłem, żeby przerwać ciszę. — Nie macie zaufania do tej kartki, bo nie wiecie wszystkiego... Na razie więcej nie mogę powiedzieć.

— Oczywiście — rzekł całkiem innym tonem. — Jeżeli ty wiesz coś więcej, to zmień postać rzeczy.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

— Nagrałeś coś ostatnio? — próbowała zmienić temat rozmowy Hanka.

— Tak, mam kilka... nowych melodii — odpowiedziałem rozstrzępionym głosem.

— Zaraz... może posłuchacie?

Podszedłem do magnetofonu i myśląc o tym, że nie powinienem być pokazywać im anonimem, nacisnąłem klawisz. Musiałem mieć bardzo posępną minę, bo kobiety patrzyły na mnie ze współczuciem.

— Ty jesteś taki dobry — powiedziała Teresa. — Wszystkim zawsze pomagasz, pracujesz za innych, podejmujesz się najbardziej niebezpiecznej i odpowiedzialnej pracy, trwonisz czas na różne bezinteresowne usługi i wreszcie doczekales się zapłaty. Ludzie nie potrafią docenić cudzego wysiłku chociażby niewiadomo jak wyraźnie rzucał się w oczy.

— To prawda — wtrąciła się Hanka. — Trzeba przyznać, że Henryk za mało dotąd dbał o siebie i widocznie dlatego komuś się nie spodobał. Będą próbowali sfabrykować jakiś oszczerzy donos na zupełnie niewinnego człowieka. Wsadzą go do więzienia, nawet się nie spostrzeże za co.

— On miałby pójść do więzienia? — uniósł się głos Teresy. — Jak zwykły kanclarz czy defraudant? Już od dwóch lat mają go za najbardziej sumiennego, uczciwego i zdolnego pracownika.

— Uciszczenie się w końcu — powiedział Wacław. — Rozgadaliście się, a przecież sam wam przed chwilą powiedział, że wszystko o nim nie wiecie.

— Znowu nastąpiła cisza. Posiedzieli jeszcze trochę i poszli. Zostałem sam. Dopiero teraz usłyszałem szmer przesuwanącej się na szpulach taśmy i uświadomiłem sobie równocześnie, że włączyłem magnetofon, a nie było żadnej muzyki. Rzut oka na klawisze wyjaśnił mi wszystko: zamiast odtwarzania włączyłem nagrywanie. Podszedłem do stolika, na którym stał magnetofon i wycofawszy część taśmy, włączyłem odtwarzanie.

— Ty jesteś taki dobry — usłyszałem głos Teresy. — Wszystkim zawsze pomagasz, pracujesz za innych, podejmujesz się najbardziej niebezpiecznej i odpowiedzialnej...

Słuchałem tego z bijącym sercem. Opanowało mnie jakieś dziwne, nie znane dotąd uczucie. Było to uczucie pewności, że następne słowa nie przyniosą mi niespodziewanego zaprzeczenia słów poprzednich. Śledziłem utrwalone na taśmie głosy aż do momentu, w którym odezwał się Wacław.

— Uciszczenie się w końcu — usłyszałem jego szorstki, nieprzyjemny głos. — Rozgadaliście się...

Zatrzymałem taśmę i wycofałem ją do początku wypowiedzi Wacława. Wymazawszy ten fragment początkiem odtwarzać rozmowę od samego początku.

— Ty jesteś taki dobry — płynął głos z magnetofonu. — Wszystkim zawsze pomagasz...

Opamiętałem się dopiero przy piątym czy szóstym powtórzeniu całej zanotowanej rozmowy. Postanowiłem sobie, że pójdę jutro do Teresy i poproszę ją, aby mi nagrała „od czterech lat” zamiast błędnego „od dwóch lat”. Przecież to było zgodne z prawdą. Taśmę schowałem do zamkniętej na klucz szuflady.

Najazutrz, po bezsennej nocy, wstałem bardzo wcześnie i zacząłem pośpiesznie pakować rzeczy. Dopiero gdy umieściłem w walizce wszystko, co mi było potrzebne do drogi, uświadomiłem sobie, że ucieczka przed nakazem aresztowania nie może mi zapewnić oczekiwanego bezpieczeństwa. Cały dzień upłynął mi na jalowej analizie mojej trudnej sytuacji.

Następnego dnia, kiedy poszedłem do pracy, mój przełożony nie tylko, że nie brał mi za złe jednodniowej nieobecności, ale uznając ją za całkowicie usprawiedliwioną, zdziwił się nawet, spostrzegłszy, jak się przygotowywałem do normalnych zajęć.

— Zależy mi na opinii dobrego pracownika — wyjaśniłem.

— Ależ w każdej chwili może ją pan ode mnie otrzymać — zapewnił mnie pośpiesznie. — Od dwóch dni lamiami sobie głowy nad tym anonimem. Czy szantażysta groził panu śmiercią?

Kiedy wyjaśniłem na czym, według prawdy nieczytelnych słów anonimem, może polegać żądanie i groźba, zdziwił się moim niepokojem.

— W takim razie — powiedział — nie widzę powodu do obaw. Sądzę, że chodzi tu o wyłudzenie jakiejś poważnej sumy pod groźbą zabójstwa, ale skoro jest to tylko zapowiedź denuncjacji lub otwartego oskarżenia, to czym się pan właściwie martwi? Chyba nie ma pan niczego na sumieniu?

Spojrzał na mnie rozbawiony nagle, jak gdyby przypuszczenie czegoś takiego było najmniej prawdopodobne ze wszystkich. Ale uśmiech jego, który miał pokryć założenie niedorzeczności, w miarę jak mijaly sekun-

dy mojego już zbyt długiego milczenia z wolna zaczął znikać mu z twarzy.

— Oczywiście, że nie! — powiedziałem w końcu. Otrząsnawszy się z zamyślenia, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w podłodze pomyślałem jeszcze, że w takich wypadkach należy patrzeć w oczy temu, kto pyta, ale nie wiem, czemu nie mogłem się na to zdobyć.

— Wszystkie moje sprawy są zupełnie... w porządku — dodałem zmieszany widząc, że przygląda mi się z nagle zainteresowaniem. — Ale przyzna pan... nie można wykluczyć jakiegos nieszczerliwego zbiegu okoliczności, jakiejś pomyłki... czy ja wiem... Czasem skazuje się ludzi zupełnie niewinnych...

— Bzdura! — przerwał mi z głośniejszym i szczerzym, jak mi się wydawało, uśmiechem. Gdyby karano takich sumiennych pracowników, jak pan, co należałoby robić z faktycznymi przestępcami?

Nie bardzo przekonany tym argumentem poprosiłem go o spełnienie obietnicy.

— Obietnica? — zdziwił się.

— No, opinia — przypomniałem.

— Chodzi panu o dobrą opinię wystawioną przez nasze przedsiębiorstwo, która mogłaby złagodzić wysokość ewentualnego wyroku na sali sądowej?

Skinąłem głową. Byłem mu wdzięczny, że od razu usiadł i zabrał się do pisania bez dalszych uspokajających mnie słów.

Idąc korytarzem dostrzegłem ukradkowe spojrzenia urzędników, którzy dotąd w ogóle mnie nie zauważali, albo kwitowali fakt mojej obecności jakimś mechanicznym „dzień dobry”. W ich zainteresowaniu dostrzegłem ciekawość podobną do tej, jaką się darzy osoby dotknięte nagłą jedną z najbardziej nieuleczalnych chorób. Przy końcu korytarza sprzedawca gazet uniósł się na mój widok i wyciągnął rękę ze świeżą prasą. Przeszedłem obok niego ze wzrokiem utkwionym w nieskończonej dali.

— Halo, panie! — zawołał za mną.

Podszedłem do niego z takim wyrazem twarzy, który mógł oznaczać skupienie przed ciosem.

— Co mnie obchodzą najświeższe wiadomości — zapytałem cedząc powoli każde słowo. — W mojej sytuacji nie myśli się o takich głupstwach. Dostałem anonim i spodziewam się aresztowania, nie wie pan?

— Nie, nie wiedziałem! — jęknął i opadł na krzesło. — Taki porządny człowiek... nie, to chyba niemożliwe.

Po powrocie do swojego mieszkania wyjąłem z kieszeni wręczony mi przez dyrektora kremowy arkusz papieru. „Opinia” sformułowana była tak, jak tylko mogłem sobie tego życzyć. Były w niej wyliczone wszystkie co ważniejsze moje osiągnięcia, które przyczyniły się do rozwoju przedsiębiorstwa; pochwały dyrektora, zwłaszcza te dotyczące zalet mojego umysłu i charakteru, wydawały mi się mocno przesadzone, ale to naciągnięcie nie mogło mi przecież zaszkodzić. Opinia napisana była na maszynie, u dołu widniały pieczęcie: okrągła i podłużna, a między nimi podpis. Całość, dzięki swej solidnej formie, musiała budzić zaufanie. To nie były słowa rzucane na wiatr — to był urzędowy dokument.

Położyłem go na stole i przechadzając się nerwowym krokiem po pokoju spoglądałem nań od czasu do czasu z budzącą się nadzieją. Ujrzałem się na sali sądowej w momencie, kiedy wyjmę ten papier, aby bez niepotrzebnych słów skromnie wręczyć go sędziemu.

Wieczorem następnego dnia, kiedy dręczący mnie niepokój, wywołany przez oczekiwane ale nieznane niebezpieczeństwo, wzmógł się nagle bez żadnego wyraźnego powodu, podczas wizyty u przyjaciela zadaniem mu pytanie, które w jakikolwiek innej postaci miałem potem zadawać wielu osobom. Było to w czasie wywołanej przeze mnie celowo rozmowy na temat naszej znajomości, rozmowy pełnej wspomnień i refleksji związanych z odległym dniem naszego pierwszego zetknięcia. Roman siedział przy stole i obracając w palcach pudełko zapalek przypominał mi, a może i sobie, bieg wydarzeń, w których razem uczestniczyliśmy kiedyś, ja natomiast, leżąc na tapczanie i słuchając tego wszystkiego z rozstargnieniem, czekałem niecierpliwie na sposobność do podsumowania jego wspomnień.

— Powiedz szczerze — odezwałem się nagle — czy na podstawie tego wszystkiego, co wiesz o mnie, mógłbyś z całą pewnością wykluczyć możliwość popełnienia przez mnie jakiegos przestępstwa?

Takie kategoryczne pytanie — przynajmniej w tej niezręcznej formie, jaką mu nadałem — musiało silną niezamierzoną i narzucającą się sugestii wywołać wątpliwość tam, gdzie jak najbardziej pragnąłem jej uniknąć. Spostreższy to po niewczasie, próbowałem naprawić popełniony błąd, lecz konstruowane w największym pośpiechu i — nie mogłem tego ukryć — w wyraźnym popochu wszystkie odpowiedzi znaczeniowo myśli, jaką chciałem wyrazić, zawierały potęgujący się wciąż nacisk na ową sugestie, którą moje rozpaczliwe zabiegi usiłowały spód tego nacisku uwolnić.

— Zaplałatał się — powiedział Roman. Zaczął bębnić palcami w blat stołu. — Daj spokój! — dodał, słysząc, że zabieram się do dalszych wyjaśnień. — Powiedz po prostu, o co ci chodzi.

Wyjąłem przygotowany arkusz papieru i plóro.

— Napisz tu, co... co o mnie myślisz — wymamrotalem, czując, że naleganie na spełnienie życzenia, które dotąd wydawało mi się tak przejrzyste i proste, teraz nagle zakrawa na kpiny. Musiałem zużyć wiele czasu i wiele najlepiej doboranych słów, aby przekonać go o tym, jak bardzo w mojej ciężkiej sytuacji zależało mi na jego przychylnym zdaniu o mnie, które — to zwłaszcza życzenie — wdało mu się szczególnie idiotyczne. Jak się wyraził — powinno mieć postać spisane-go oświadczenia.

— Przecież w każdej chwili będę mógł zgłosić się, jako przemawiający na twoją ko-

(Dokończenie na str. 10)



Listy do KAMENY

RZECZ O KOMIKSACH

Kamena Przewięta! Po raz wtóry z lamów Twoich bije grom we mnie, najpierw za ilustracje do „Nowych Atak” Chmielowskiego, teraz —

Korzystałem jednak z okazji, z poruszenia w powyższym piśmie tematu komiksów, by podzielić się z Tobą moim zdaniem p. Przybylskiego, utracone na końcu Jego listu do Jacka: „...uważam, że u nas nie dostrzegają się, ogólnie rzecz biorąc, ogromnej mocy tego narzędzia prasowego odzyskiwania. Natomiast na Zachodzie zdają sobie z tego doskonale sprawę i nieradko wykorzystują komiks do celach propagandy politycznej. Wskazując przytoczyć serię z Jamesem Bondem, agentem wywiadu, który zawsze wygrywa”.

Miałem ostatnio w ręku opasły tom wydany przez francuską „Planète” w serii antologii: przegląd komiksów od ich zarania do dziś. Pasjonująca lektura, jeśli lekturą jest oglądanie setek malutkich obrazków: przy okazji ogarnęło mnie rozczarowanie, wspomnienie dziecinności, gdyś napotkał starego znajomego Alca ze „Świata Przygód”, oraz Ferka z „Karuzeli”. Były to w rzeczy samej piramidalne kicz napchane nonsensami do rozrywki, choć nierzadko za czytelnikami się w tych bredniach z upiekami na twarzy: jak się facet wyciśnie z tarapatów!

Nie bez powodu uwertowałem omawianą księgę, czeka mnie bowiem spora robota przetłumaczenia na język komiksów raz jeszcze „A Pancernych i psa”, tym razem od Syberii do Berlina i to na kolorowo. Uchem wyobraźni już słyszę Jek, Jek! na wieść o tym wydaniu Jacka i p. Przybylski: to dopiero będzie piramidalna chałtura i nieudolny kicz bez weny!

Natomiast do mojej pasji podrabiania wszelakich stylów, rzekł mi kiedyś Eryk Lipiński: „Tobie jest wszystko jedno, jak rysujesz?” — a gdy potwierdziłem wesoło, dodał „To rysuj do b r z e !” Wziąwszy sobie to do serca, przetłumaczyłem sumiennie ów tom komiksów, by poznać główne prądy i sposoby w rzeczonej dziedzinie; nie mam zamiaru udawania kłopotliwiec z zachodnimi grafikami komiksowymi, lecz taki właśnie „przegląd mody” na pewno poowocni wyśnię na zdrowie.

Wniosek narusza się jeden, a mianowicie — odejście od taniutkiego (ac nie u honorariach) naturalizmu. Masowy odbiorca, atakowany, nawet wbrew woli, przez plastykę współczesną, przez błyskawicznie, skrótowo podawane informacje (np. plakaty, reklamy), nauczył się tak wiele, nasyłki tyłoma pracidami malarskimi, iż można — a nawet należy — przekazywać mu, również w świecie komiksów, coraz ciekawsze optyczne formy. Popograficzna, sadystyczna francuska seria o dziesięciu w bikini nawiązuje wizualnie do nie było kogo, bo do samego Toulouse-Lautreca (który notabene niejedną kompozycję nader frywolnej treści stworzył), wykorzystując jednocześnie plakatową współczesność — w minimalistycznym, nie ulega wątpliwości, gdy się ogląda te właśnie malowane opowiadanie, gdy się smakuje dziesiątki innych, każdy odmiennie pojęty, komiksów nowoczesnych, iż epoka Alexów i Ferdków może być dziś zupełnie w omawianej dziedzinie zignorowana.

Nie widzę, powtarzam, powodu, aby trzymać się niewolniczo kłopotliwiec z gotowymi wzorów, zwłaszcza, że popyt na noce formy komiksów jest ogromny. Nie tak dawno w naszej prasie jakieś wydawnictwo skandydowało rozpiąto (ogólnostanowczy) konkurs na odkrywczy chwyt grafiki komiksowej — i pierwsze miejsce, żeby było całkiem śmiesznie, zajął przedstawiciel kraju, gdzie rzecz nie ma żadnych rodzimych tradycji, przedstawiciel Polski! Nie, nie było mnie wśród nagrodzonych, co mi przeszkadza, iż sprawa intryguje mnie również bez dolarowych laurów.

W popularnym ostatnio prądzie plastyki intelektualizującej wykorzystano chętnie (u nas widać Świerzy i Cieściewicz) elementy komiksów, ale przewrotnie, rzekłbym: perwersyjnie. Wytrawny smakosz lubi i cuchnące, spieniałe sery, tak samo kieżoutość Alexa lechtala zbliżone oko — i nie to mam na myśli, gdy mówię o zbliżeniu się współczesnego komiksu do autentycznej sztuki. Na swój skromniutki — jak określono w „Kamencie” — nieudolny — sposób próbowałem odmiennego od tradycji komiksowej chwytu w tych swoich „A Pancernych” — postanowiłem mianowicie zrezygnować z dymków idących od ust dramatai parsona, opuścić nawet sakramentalne ramki wokół każdej „klatki” i machać niemal szcziwono, jak jakieś swobodne ilustracje książkowe, co na kształt impresji graficznych z poszczególnych scen opowieści. Oczywiście to przedkuro, gdzie zmieszano rysunek kilkakrotnie, gubiąc uciążliwość trz, smaczków kreacji, nie widać u ogółu takowego zamysłu, jednakże śmiejąc się, iż i tedy może prowadzić droga. W moim mniemaniu, nie ma, jeśli chodzi o samobieżny „Ferdinand”, aż jedynym — naby od niechętnia, swobodnie, z pozostawieniem w kadrze białych pól, z tym, co się zule pomysłem graficznym.

Nie twierdząc, iż się to akurat bez pudła udało, na pewno ci, którzy zaimponowali Świerdom inwencją komiksową, dalszy zabawniejszy formy rysunków, ale u nas się to robić wstydzi. Tu leży pies pogrzebany i o tym właśnie chcę rzec najdobitniej.

U nas komiks jest dla grafika sprawą kłopotliwą, bo zawsze wisi nad tą robotą odium chałtury, blaznowania pod najgorzej publiczną, zarzut popustyni po wulgarnym ryku: „Kamencie”. Samo ułożenie rysunków szeregiem obrazu, jako „tobie komiksów”, „Ferdinand”, to same ilustracje luzem mogą się tym samym luzem podobać; dowodem niechaj będą

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

Oddział Miejski Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Białymstoku prowadzi ożywioną działalność już 19 lat. Oddział liczy 800 członków. Towarzystwo organizuje m. in. spotkania z literatami, którzy piszą w języku białoruskim, występy artystyczne, wystawy fotograficzne z życia BSRB i ZSRR. Biblioteka Oddziału posiada duży wybór książek w języku białoruskim, rosyjskim i polskim.

W okresie 15 lat istnienia mury Akademii Medycznej w Białymstoku opuściło 2188 absolwentów. W bieżącym roku dyplomy ukończenia wyższych studiów medycznych otrzymały 133 osoby.

Młodzieżowe zespoły muzyczne Białostockie wyróżzły na podbój zagranicę. Popularne „Diamenty” z Białostockich Zakładów Przemysłu Bawelnianego „Fasty” wyjechały na miesięczne tournée artystyczne na Węgry. Zespół młodego uderzenia o skromnej nazwie „Złotodzioby” z zetemesowskiego Klubu Medyka „Herkules” występował w Słonecznym Brzegu w Bułgarii, jako „The Greenhorns”. Co znaczy wprawdzie to samo, tyle tylko że po angielsku, ale brzmi bardziej „big-beatowo”.

KIELCE

Rektor kielecko-radomskiej WSI, doc. dr Bronisław Siusarczyk, wręczył dyplomy ukończenia studiów wyższych pierwszym w historii tej uczelni absolwentom Wydziału Mechanicznego. Warto odnotować, że w ubiegłym roku ak-

demickim na WSI studiowało już 1493 osób na studiach wieczorowych i 228 na dziennych.

Pięć lat spotkanie teatrów lalkowych Polski wschodniej odbędzie się tym razem w Kielcach. Postarali się o to mieleccy Teatr Lalki i Akrobacji „Kubus” oraz Wydział Kultury PWRN.

Muzeum Techniki w Sielcu wzbogaciło się o kolejne cenne ekspozycje. Są to: stuletni debowy dzwign-zuraw i Nawojowej kolo Nowego Sącza, oraz również stuletnia, gremplarka ofiarowana przez zakład włókienniczy w Bobrzy.

Kieleccyzna planuje na rok przyszły szereg interesujących imprez kulturalnych. M. in. Muzeum Świętokrzyskie wystawie dzieł Józefa Smerzetowskiego, w Radomiu, Zwoleniu i Czarnolesie zostanie zorganizowany Festiwal Poezji Jana Kochanowskiego, a we Włoszczowie i Czarnolesie, w 378 rocznicę urodzin Stefana Czarnieckiego, odbędzie się specjalna sesja popularnonaukowa.

W Radomiu, z inicjatywy działu etnograficznego Muzeum Regionalnego, otwarto skansen bartniczo-pszczałarski. Na razie zgromadzone tutaj 28 uli z terenu pow. radomskiego oraz z Puszczy Kozienickiej.

LUBLIN

Minister kultury i sztuki, przyznał Marii Bechczyk-Rudnickiej, obchodzącej w tym roku 55-letnie pracy pisarskiej i 80-lecie urodzin, nagrodę jubileuszową w wysokości 10000 zł. Gratulujemy!

W VIII konkursie młodych form literackich organizowanym przez Woj. Stowarzyszenie PAX w Lublinie dla czterech województw wschodnich, pierwszą nagrodę przyznano Leszkowi Więckowi z Lublina (Habit), dwie drugie — Stanisławowi Andrzejowi Lukowskiemu z Lublina (Lon) i Bogdanowi Żadurze z Puław (Combray), dwie trzecie — Zbigniewowi Strzałkowskiemu z Lublina (Bez) i Janowi Dziubie z Białegostoku (Bart). Nagrodę specjalną za twórczość ludową otrzymała Teodora Jagłowska z Filipowa w pow. suwalskim (Rak). Przyznano również pięć wyróżnień.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

Oddział Miejski Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Białymstoku prowadzi ożywioną działalność już 19 lat. Oddział liczy 800 członków. Towarzystwo organizuje m. in. spotkania z literatami, którzy piszą w języku białoruskim, występy artystyczne, wystawy fotograficzne z życia BSRB i ZSRR. Biblioteka Oddziału posiada duży wybór książek w języku białoruskim, rosyjskim i polskim.

W okresie 15 lat istnienia mury Akademii Medycznej w Białymstoku opuściło 2188 absolwentów. W bieżącym roku dyplomy ukończenia wyższych studiów medycznych otrzymały 133 osoby.

Młodzieżowe zespoły muzyczne Białostockie wyróżzły na podbój zagranicę. Popularne „Diamenty” z Białostockich Zakładów Przemysłu Bawelnianego „Fasty” wyjechały na miesięczne tournée artystyczne na Węgry. Zespół młodego uderzenia o skromnej nazwie „Złotodzioby” z zetemesowskiego Klubu Medyka „Herkules” występował w Słonecznym Brzegu w Bułgarii, jako „The Greenhorns”. Co znaczy wprawdzie to samo, tyle tylko że po angielsku, ale brzmi bardziej „big-beatowo”.

LUBLIN

Minister kultury i sztuki, przyznał Marii Bechczyk-Rudnickiej, obchodzącej w tym roku 55-letnie pracy pisarskiej i 80-lecie urodzin, nagrodę jubileuszową w wysokości 10000 zł. Gratulujemy!

W VIII konkursie młodych form literackich organizowanym przez Woj. Stowarzyszenie PAX w Lublinie dla czterech województw wschodnich, pierwszą nagrodę przyznano Leszkowi Więckowi z Lublina (Habit), dwie drugie — Stanisławowi Andrzejowi Lukowskiemu z Lublina (Lon) i Bogdanowi Żadurze z Puław (Combray), dwie trzecie — Zbigniewowi Strzałkowskiemu z Lublina (Bez) i Janowi Dziubie z Białegostoku (Bart). Nagrodę specjalną za twórczość ludową otrzymała Teodora Jagłowska z Filipowa w pow. suwalskim (Rak). Przyznano również pięć wyróżnień.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Tegetoczne nagrody wojewódzkie

za wybitne zasługi i osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej otrzymali: Józef Debnik — I sekretarz KP PZPR w Bilgoraju, prof. dr Antoni Demianowicz z WSR, prof. dr Aleksander Gardawski z UMCS, mgr inż. Władysław Ginko — przewodniczący oddziału MOTT w Lublinie, Wacław Galeski — I sekretarz, prof. dr Tadeusz Jaryna-Onyszkiewicz z Akademii Medycznej, Bronisław Pietrak — twórca ludowy, dr Sławomir Zabek z UMCS, Jan Ziemiński — artysta, plastyk. Nagrody wojewódzkie przyznano również dwóm dziennikarzom: Romanowi Łozińskiemu ze „Sztandaru Ludu” oraz Franciszkowi Malinowskiemu, kierownikowi lubelskiego oddziału PAP. Nagrody zespołowe otrzymały: zespół redakcyjny Rocznika Lubelskiego oraz zespół teatralny Gromadzkiego Domu Kultury w Karczmiskach. Wśród osób, które otrzymały doroczne nagrody miasta Lublina, znalazł się jeszcze jeden dziennikarz, red. Włodzimierz Wójcikowski z „Kuriera Lubelskiego”. Wszystkim nagrodzonym gratulujemy.

Z przyjemnością informujemy również, że członek Kolegium Redakcyjnego „Kamena”, dr Zygmunt Mańkowski, został w związku ze świętem Lipcowym odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Teatr Akademicki UMCS „Gong-2” wystąpił z premierą „Wielkiego Testamentu” Franciszka Villona, w reżyserii Andrzeja Rozhina. We wrześniu „Gong-2” wyjedzie na Węgry do Debreczyna, gdzie najprawdopodobniej zaprezentuje „Wielki Testament” oraz „Elżbietę Ham” Daniela Charmsa.

W VIII konkursie młodych form literackich organizowanym przez Woj. Stowarzyszenie PAX w Lublinie dla czterech województw wschodnich, pierwszą nagrodę przyznano Leszkowi Więckowi z Lublina (Habit), dwie drugie — Stanisławowi Andrzejowi Lukowskiemu z Lublina (Lon) i Bogdanowi Żadurze z Puław (Combray), dwie trzecie — Zbigniewowi Strzałkowskiemu z Lublina (Bez) i Janowi Dziubie z Białegostoku (Bart). Nagrodę specjalną za twórczość ludową otrzymała Teodora Jagłowska z Filipowa w pow. suwalskim (Rak). Przyznano również pięć wyróżnień.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzeszowski artysty, Zygmunta Czuby, zatytułowany „Zieleń”.

W klubie MPiK w Rzeszowie prezes Zarządu Okręgu ZPAP dokonał otwarcia wystawy malarskiej artysty-amatora Franciszka Jastrzębskiego. Ekspozycja (zgromadzone tutaj 22 obrazy) cieszy się dużym zainteresowaniem.

Wydział Kultury PWRN i ZO ZPAP ogłosiły nieustający konkurs plastyczny na najlepszą grafikę i rysunek miesiaca oraz drugi — na najlepszy obraz kwartału. Pierwszą nagrodę za ostatni kwartał otrzymał obraz rzesz

## MINUTA MYŚLENIA

# Trudno, proszę kibica

STATNIO świat lekkoatletyczny przeżył nie lada sensację: rekord świata w biegu na 100 m można wyrazić używając tylko dwu cyfr. I to aż trzech istnieje jego nowych posiadaczy. Murzyn Jimmy Hayes, Harry Greene oraz Ron-

nie Ray Smith osiągnęli po 9,8 sek. Ten pierwszy — wprawdzie z wiatrem przekraczającym 2,3 m na sek., na skutek czego wynik nie może być zaliczony jako rekord — uzyskał nawet 9,8 sek. Śledzin sprinterów wyróżniało poprzedni rekord Harry'ego i Hayes'a. I to wszystko się stało jednego i tego samego dnia, 20 czerwca br., na jednym i tym samym stadionie w Sacramento (USA). Rozmiar tego wyczynu uzmyslowimy sobie tym plastycznie, gdy się przypominamy, że od roku 1912 rekord na tym dystansie został poprawiony tylko o 0,7 sek. A więc za jednym zamachem tak gwałtowne i szerokie przesunięcie frontu. Skóra ciepnie.

Nie ochłonęliśmy jeszcze od tej potrójnej sensacji, a już wali się nowa: Janis Lusia (ZSRR) w oszczepie 91,58 m! Kiedy cztery lata temu Norweg Pedersen, rzucił na odległość 91,72 m, zdawało się, że rekordowi świata w tej konkurencji wyznaczył długą postać. Tymczasem „wykoczył” zawodnik wcale nie nowy, taki raczej, który po szeregu przawożytych, ale nie rewelacyjnych wyników „powinien” myśleć o zakończeniu kariery. Co się dzieje?

## BIG-BEAT

# Oliwa na wierzch wypływa

Uśmiech każdego dnia



- Iochanie, zapomniałeś kaleszy!

## FELIETON Z REZERWY

# Dziury w stropodachach

NIE minie tydzień, aby w każdej szanującej się gazecie nie było przynajmniej jednego sprawozdania z sali sądowej. To zawsze dobry temat: atrakcyjny dla czytelnika, łatwy dla sprawozdawcy. Ostatnio nawet większość pism kulturalnych czy społeczno-kulturalnych podjęło ten temat. Akurat bowiem na początku sezonu ogórkowego rozpoczął się głośny proces hochsztaplera rzeczywistości wysokiej klasy — Kargula.

A tymczasem również, a nawet nierównie ciekawsze sprawy jak w sądach powszechnych rozgrywają się w komisjach arbitrażowych. Są to swego rodzaju sądy, które mają rozstrzygać spory pomiędzy przedsiębiorstwami państwowymi. Brzmiałoby to dosyć dumnie — ale praktyka jest znacznie bardziej prozaiczna.

## Odpowiedzi redakcji

A. M. w Markuszowie. Wydać nam się, że w Pańskiej twórczości znajdujemy zadatki na interesującą poezję. Piszemy „zadatkami”, bo szuka Pan ciągle odpowiedniego wyrazu dla uźródlenia swoich emocji i przemysłu. Pańskie widzenie świata wskazuje na dużą wrażliwość, a nawet świeżość ujęć, które są tak w poezji istotne. Radzilibyśmy usunąć stereotypy słowne, tu i ówdzie zachwytujące interesujący tekst. Sumując — zachęcamy do dalszej pracy i prosimy o skontaktowanie się z nami za kilka miesięcy.

E. W. w Lublinie. Droga Pani! Od uznania w gronie rodziny i przyjaciół do społecznej aprobaty droga jest różna. Nie znalazła Pani nowej formy dla przekazywania swych przeżyć. Nie wiemy, czy w Pani przypadku kiedykolwiek do nastąpi. Owego jedynego wyrazu artystycznego dla swolnego przeżyć i przemysłu poeta szuka czasami przez całe życie i rzadko któremu udaje się stworzyć ów świat poetycki skomplikowany, a jednak spójny wewnętrznie, jak np. Leśmianowi. Pani przekazuje swoje przeżycia (bo o przemysłach trudno mówić) w sposób bardzo jeszcze banalny i skonwencjonalizowany. Radzimy uniknąć publicystyki. Pięknych intencji (w wierszu pt. „Dlaczego nie pomyślał o pokoju”) nie potrafiła Pani przetworzyć na poezję.

„Chajot” w Krakowie. W Pańskich wierszach widać wyraźnie zacięcie satyryczne. „Sonet dla Kasi” zupełnie zgrabnie prezentuje dystans wobec świata przedstawianego. Podobna tendencja widzimy również (choć w gorszym wykonaniu) w „Etiudzie o chamskiej”. Stylizacja ludowa („Mazurek”) raczej stereotypowa, wyszukująca rytmi-ki i stylizację skonwencjonalizowanej ludowości w funkcji jedynie

Światowa lekka atletyka udziela siedmiomilionowa buty. Światowa A nasza? Mecz ZSRR — NRD — Polska towarzyszą 13 i 14 lipca br. w Leningradzie daje na to pytanie zdecydowana odpowiedź odmowna. Przegraliśmy z kretesem do naszego, nie tylko wchodzącego, ale również i zaciętego sąsiada. Minęły czasy — tak, tak, były takie — kiedy w lekkiej atletyce stanowiliśmy trzecią potęgę na świecie.

Rozczarowanie? Gromy? Zadari Kibic gotów jest organizatorem naszego życia sportowego przekazać przekleństwa w testamentie do dziesiątego pokolenia. A przecież musimy się zgodzić z tym, że dawniejsze trzęsienie, czy później bliska trzęsienie miejsce znajdowało się raczej w niezgodzie z rzeczywistością układem sił na świecie i utrzymywane było jedynie na zasadzie zrywu dokonanego przez reprezentatywną kadre i zespół działaczy. Naturalną koleją rzeczy nastąpił po tym odpływ. To jedno. Po drugie — wynik sportowy nie zależy w całości od zabiegów organizacyjnych i mecenatu państwowego. Nie można sobie uchwalić, ani wyhodować olimpijskiego medalu. Ten jest wynikiem pracy, trudzący na talenty, co ma swoje uwarunkowanie w czynnikach

natury pozorganizacyjnej. W tych okolicznościach zasnuwać mrokiem pesymizmu nasze olimpijskie perspektywy do dodawek załamania psychicznego do i tak nie największych w tym roku możliwości fizycznych. Raczej powiódzmy — trudno, w sporcie nie zawsze się wygrywa. Eszemplum Schmidt, który i rekordem świata i złotym medalami tyle się w sporcie polskim zastąpił, ale który skazany chyba już dziesiąty sezon nie dziwnego, że w Leningradzie nie wygrał. Eszemplum — Sidor, któremu przysługują podobne motywacje.

Przykro to ciężej być reprezentantem naszego kraju. Trzeba znaleźć odporność wobec ataku najlepszych na świecie, który jakimś dziwnym prawem następcy wieku lamia najzawziędsze przekonania co do „granic możliwości”, jak również — wobec zażępienia wymaganja krajaj oczekujących permanentnego zwycięstwa. Ostatecznie — wywały czasy, kiedy obecność Polaka w finale już sama przez się traktowana była jak sukces.

A swoją drogą — tym Murzynom pomagał chyba sam Lucyper. Czy nie ma on czasem jakiegoś diabła konkurencyjnego?

Ijon

— bądźmy ściśli — obskurna chałupka, pozostałości dawnych czasów, kiedy nikomu nawet nie śniło się o LSM. Rudera ograniczała widoczność, ponoc nie było takiej sily, która zmusiłaby mieszkańców do wykwaterowania. Alarmistyczne notatki prasowe były głosem wołającego na puszczy. No i stało się. Doszło do śmiertelnego wypadku. Zginął motocyklista.

Śmierć motocyklisty, podkreślam dopiero ona, spowodowała decyzję o wykwaterowaniu lokatorów i rozbraniu zapadającego się domu. Wydaje mi się, że za ten niepotrzebny zgon ktoś konkretnie odpowiada. Dlaczego tyle lat zwlekano?

Zapadł już wyrok w procesie Zdzisława Halasa, sprawy innego wypadku. Halas w dniu 1 maja samowolnie zabrał z bazy PKS w Zamocisku autobus „Jelcz”, najechał nim na „Wartburga”. Trzy osoby zginęły na miejscu, czwarta zmarła w szpitalu.

Proces odsłonił fakty, które mroziła krew w żyłach. Oto o samowolnym zabraniu samochodu poinformowano jednego z milicjantów zamociskich. Ten miał odpowiedzieć, że go to nie obchodził. Oto Halas zatrzymał się przez pół godziny w lubelskiej bazie PKS. Wpuścił go tu bez żadnej kontroli uczynny strażnik, który później znow otworzył drogę. Oto po wypadku Halas udał się na zabawę do Piask, gdzie... tańczył do drugiej po północy.

Wyrok zapadł surowy — dożywocie. Sprawca śmierci czterech osób będzie miał czas na rozmyś-

lania. Sądze, że pewien czas na rozmyślania trzeba by zapewnić i osobom, które na skutek niedbalstwa były beztrojski są w spólwinne temu, co się stało na trasie Lublin — Zamocisk.

W Chelmie oddano do użytku budynek składający się z 60 mieszkań. Przed oficjalnym odbiorem budynku od wykonawcy, gdy trwały jeszcze roboty wykończeniowe, wprowadził się zajmując 3-pokojowe mieszkanie — jak informuje o tym na lamach „Sztandaru Ludu” W. Jankowska — dyrektor MPRB, Czesław Pawliczuk. W kilka dni potem takie samo mieszkanie zajął kierownik Miejskiego Zarządu Gospodarki Terenami, Bronisław Sciga. Następnie identyczne mieszkania zajęli i sekretarz KM PZPR, Mieczysław Oszust, oraz dyrektor Szpitala Miejskiego, Jan Nierubca. Wszyscy wymienieni nie byli bynajmniej „dzikimi” lokatorami, mieli przydziały wydane im przez Prezydium MRN, mimo że tych przydziałów otrzymał nie powinni.

Sekretariat KW PZPR powołał komisję, która zajęła się tą całą skandaliczną sprawą. W konsekwencji wylecieli ze stanowisk przewodniczący Prezydium MRN Bolesław Ryczer, wiceprzewodniczący Prez. MRN, Aleksander Dejnaka, wspomniany już Pawliczuk, Sciga i Oszust. Obok tego pospasyły się i kary partyjne.

No i minął mój wisielczy humor. Oliwa na wierzch wypływa. Choć czasem trzeba na to trochę poczekać.

Jacek

Investor stodoły nie odbiera i rachunku nie płaci. Wykonawca najpierw milczy, potem twierdzi, że słupy są nawet mocniejsze niż miały być. A inwestor nie wierzy. Wykonawca obiecuje powołać ekspertów. Oczywiście czas biega i zanim powołano ekspertów na scenie pojawia się ten trzeci — użytkownik stodoły. Rozpaczają się wiosenne siewy i nadesłane ziarno kwalifikowane trzeba gdzieś zysnąć. Sypie do stodoły, na co wykonawca patrzy okiem bardzo zyczliwym, udając oficjalnie, że o niczym nie wie.

Gdy już ziarno zostało zyspane, tenże wykonawca zawiadamia inwestora: a teraz, bratku, zapłać rachunek. Stodoła jest już w użytkowaniu i każdy może zobaczyć, że słupy się nie przewróciły, a dach nie zapadł się. Inwestor rachunku nie płaci, wykonawca dodaje, że właśnie miał roczny okres gwarancyjny i stodoła go więcej nie obchodzi, żada tylko reszty pieniędzy. W rezultacie obie strony wnoszą pozwy do komisji arbitrażowej. Odbędzie się kilka rozpraw, zostaną powołani liczni świadkowie, radcowie prawni sporządzą całe tecki pism, odwołań, prób, ekspertyz...

A oto historia z Puław.

Na kilkunastu domach mieszkalnych zamiast starych pocerwionych dachów położono rzekomo bardzo nowoczesne stropodachy. Chodząca po nich komisja odbioru nie zauważyła żadnych dziur i protokoły podpisała. Inwestor rachunki zapłacił, wykonawca zabrał się do następnych domów. Alsi lokatorzy tych domów ze stropodachami — nawet ci mieszkający na parterze — przy pierwszych deszczach z przerażeniem stwierdzili, że nie tylko kapie, ale leje im się na głowy.

Interwencje lokatorów u wszystkich możliwych władz nie

nie pomagały. Gdy przyszły mrozy, sprawa trochę ucichła, a przy każdej odwilży interwencje zaczynały się od nowa. Wykonawca twierdził nieugięcie, że owe stropodachy wykonał zgodnie z dokumentacją i nie jego wina, że deszcz jest taki wściebki, a reszta nie go nie obchodzi. Inwestor był zdania, że robota została spartaczona — powołując się na przykład Gdańską, gdzie takie same stropodachy rzekomo były odporne na najbardziej tropikalne opady. I że jest to ukryta usterka (takie ciekające dachy, krzywe ściany, ciekające sufyty w oficjalnym języku budowlanym nazywają się zawsze usterekami), za którą inwestor odpowiada w ciągu 3 lat.

Sprawa znowu znalazła się w komisji arbitrażowej, która ma niezwykle twarde orzech do zgryzienia. To, że dachy ciekną, jest faktem niezaprzeczalnym. Chodzi „tylko” o to, kto ma zapłacić za zmianę niefortunnnych stropodachów na zwykłe, ale szczerne dachy — co będzie kosztowało przynajmniej 1,5 mln zł. O zniszczeniach mebli i nerwach lokatorów nikt — oficjalnie — nie mówi.

Celem zahamowania napływu spraw do sądów powszechnych podwyższono opłaty, kierownikom przedsiębiorstw za lekko-myślnie lub „ubezpieczające” kierowanie sporów z pojedynczymi obywatelami grożą sankcje służbowe. Były nawet wypadki, że kosztami obciążano dyrektorów głównych księgowych. Czas już chyba, aby potencjalna tama pieniężna potężna sama przedsięwzięcia. Ostatecznie przecież koszt takich sporów obciążają kieszeń obywateli!

JOD

ozdobnika. Nie radzimy Panu tej drogi. „Poczęcie” poczęcia nie jest, publicystyka też nie, raczej anegdota, która w tym ujęciu nie jest najszczęśliwsza. Niemniej prosimy odczekać się po jakimś czasie.

A. K. w Płocku. „Babcia” i „Las” utrzymane w ładnej stylizacji, tylko po co ta niedobra, nieuzasadniona charakterem liryków, maniera „schodkowa”? Jeśli Pani zgodziłaby się na normalny zapis, można wyrukować jeden z wymienionych wierszy. Niemniej sporo jeszcze w Pani poezji wiotkości i stereotypów. Nadesłane erotyki są bardzo niedobra literatura.

S. W. w Kolobrzegu. W Pańskich utworach wiele niedobrej pretensjonalności („szliśmy powlęcząc skrzydłami”), niezasadności metafory i banalizmu. Niech Pan jeszcze popracuje! Najbardziej podobna nam się „Ballada o żarnach”, chociaż ona ballada nie jest. Ten nieliryk moglibyśmy wydrukować, warto jednak zmienić tytuł.

A. L. w Kielcach. Zafascynował nas wiersz „Odkrycie”, który możemy traktować wyłącznie jako b. pretensjonalne, prywatne zwierzenie wobec redakcji. Jak na studenta późno odkrywa Pan własne ciało, ale to jeszcze nie powód do narcyzmu („Kiedy nagość mego ciała otacza mnie blaskiem zaakrąglonym do chwili”). Przejeżdżamy się również Pańskim genialnym odkryciem „Je nie jestem całym światem”. U normalnie rozwijających się dzieci następuje ono już w drugim roku życia. Gratulujemy samookreślenia!

R. N. w Koźminiech. „Gdy zapada mrok życia / Gdy latarnia umyślnie nie świeci już jasno”, za zamarkach duszy kwitną i płaczą wspomnienia”. Niech sobie kwitną i płaczą, oddać owe przeżycia w wierszu nie jest bowiem sprawą łatwą. Inne Pana utwory mają słachetną treść, ale to za mało, aby zaliczyć je do poezji. Piszemy szczerze, bez przyzmyżenia oka, o co Pan prosi w liście. W literaturze trudno stosować taryfę ulgową.



Rys. W. Fuglewicz

## NOTY i notki

PONAD STRONĘ poświęciła „Kultura” (nr 23) prezentując „Kamień”, a także moją osobę na fotografii zespołu redakcyjnego. Dziękuję — ale i przepraszam, że muszę się czepiać tego samego numeru „Kultury”. Jan Szełąg najbardziej szorstko pisze, że trzeba popularyzować fakty z dzisiejszej rzeczywistości PRL. I potem: „Jedzie taki sobie z Puław na przykład do Kazimierza i widzi te Puławy. No i cóż z tego? Fabryka jak fabryka. Duża, bo duża”. Po pierwsze: jadąc z Puław do Kazimierza nie widzi się wcale fabryki (chodzi o Azoty). Po drugie: jadąc w odwrotnym kierunku tylko przez chwilę widzi się wierzchołek kominu. Po trzecie — ani w jednym ani w drugim wypadku zupełnie nie widzi się nowych Puław. „No cóż, trzeba jednak dalej bić na alarm!” — kończę słowami Szełęgi.

JAK CO ROKU W LIPCU niemal cała prasa polska zamieszcza tzw. materiały z Lubelszczyzny. Dziennikarze przyjeżdżają, słuchają jednym uchem, oglądają jednym okiem i spleśnia do normalnej stolicy. I potem wychodzą takie rzeczy, jak w artykule Anny Web z „Tygodnika Kulturalnego” (nr 39, Prostuje tylko część nieścisłości: 1) „Lubgał” istnieje nie od 1956 r., ale od 1 lipca 1955 r., 2) Nie wokół, lecz koło FSC powstała dzielnica Tatarska, ale wcześniej wybudowano znaczną część osiedla Bronowice, właśnie dla FSC, 3) Kukrownie, Lechów, LFMR, Zakłady Przemysłu Skórzanego i inne uruchomiono nie po, ale przed FSC, nieraz nawet 7 lat wcześniej, 4) Licząc daty powstania — to nie dzielnica uniwersytecka leży koło LSM, ale odwrotnie, itd.

POLKI SA JEDNAK NIEZAWODNE, zwłaszcza dla turystów z twardą walutą. „Życie Warszawy” w nr 173 donosi z triumfem: „Polskie huciany interesują turystów”, dodając: „Wyniki tego rekonesansu okazały się bardzo korzystne... p. Bodsforth oświadczył, że spodziewa się w następnych latach rozwinąć tej formy turystyki zagranicznej do Polski”. A my mamy mieć kłopoty z wyciem?

NA MIŁOŚĆ BOSKA — czas już chyba zmienić stawki dla scenografów. Calkiem udany festiwal polski oglądaliśmy na tle wielkich kart, które wyglądały bardzo miernie. Aleksander Rowiński w „Zyciu Literackim” (nr 23) twierdzi, że kosztowało to brzydactwo tylko 300 tysięcy złotych i to zgodnie ze stawkami. A na mój rozum przy niewielkim dodatku ta suma mogłaby wystarczyć na cały festiwal. No ale cóż — wydawano z kieszeni państwowej.

PEWEN DYREKTOR W LUBLINIE otrzymał od pracowników na imieniny — trudno uwierzyć, ale rzec jest prawdziwa — bony na zakup książek. Z bonem wartości 50 zł poszedł do księgarni i kupił książkę za 38 zł. Ale potem już nie chciał drugiej, nie chciał dopłacić 2 zł, aby otrzymać dwa bony po 10 zł — natomiast kategorycznie domagał się zwrotu 12 zł w gotówce. Sklep odmówił, więc od trzech tygodni pomiędzy ewym dyrektorem a dyrektorem Domu Książki krąży korespondencja na ten temat.

PRZEDWYBNE INTERESY zatapiają sobie ludzie. Oto treść ogłoszenia drobnego z „Kuriera Lubelskiego” (nr 163): „Wille w Warszawie zamienie na wille w Lublinie oraz mieszkanie 4-izbowe w Lublinie na 3-izbowe w Warszawie”. No i gdzie taki chce wreszcie mieszkać?

STATYSTYKA MA JEDNAK DWA OBLICZA — o czym nie zawsze pamiętają współpracownicy „Trybuny Ludu”. W nr 194 (5b) wylizła, że w 1967 r. Polacy wypalili papierosów wartości 12 mld zł, podczas gdy budowa I etapu huty im. Lenina kosztowała 15 mld zł. Prawda — ale gdybyśmy nie paliłi, co zrobiłoby 200 tysięcy plantatorów i cały przemysł tytoniowy?

DWA RAZY O GRZESKOWIAKU. Aleksander Rowiński pisze w „Zyciu Literackim”: „Pojawił się (na festiwalu w Opolu taki, co pokazał Polskę po polsku — Grzeszkowiak. Grzeszkowiak — tryumf festiwalowy, Grzeszkowiak — odkrycie — zgodnie już z tradycją, że co festiwal to odkrycie. Tak celnej satyry nie było od dziesiątków lat. Pomieszanie obywatelskości, doznajacej się na stykach miasto-wieś, są u Grzeszkowiaka zakochowane z doskonałością jak gdyby przejęta od Wyspiańskiego”. „Walka Młodych” natomiast zamieszcza na ekspozycyjnym miejscu list niejakiego Jacka Drazgi z Bielska-Białej, w którym czytamy m. in.: „Stuchatem tej piosenki (mowa o piosence pt. „Chłop żywym nie przepuszczy” z repertuaru Grzeszkowiaka) kilkakrotnie... Rzeczywiście jest to „dziarska pioseneczka”, tyle że podobać się może chyba tylko mieszczuchom i to — też nie wszystkim. Prawdę mówiąc — choć do strachliwych nie należą — nie chciałbym się znaleźć w wielkiej klubo-kawiarni w czasie transmisji z Opola. Chyba byłoby mi bardzo głupio i chyba jest po prostu ciekawy komentarz na temat tekstu, który wierszom sporo obrażały, a przy tym w rzeczywistości ani pomysłowo, ani dowcipnie...”. Redakcja „Walki Młodych” nie wypowiada własnego zdania, prosim natomiast o listy czytelników na ten temat. „Droga Redakcjo — w tym pełnym głosie — nie dajmy się zwariować!”

W TYM SAMYM NUMERZE „Walki Młodych” odpowiedź, jakich udziału na egzaminie... absolwenci uczelni wyższych starający się o przyjęcie na pewne podplomowe studia uniwersyteckie. Pytanie: Kiedy powstała PZPR? Odpowiedź: W roku 1918. Pytanie: Mogłaby pani wymienić nazwiska założycieli? Odpowiedź: Janek Krasicki, Władysław... Pytanie: Co będziemy wydobywać w zagłębiu legnicko-głogowskim? Odpowiedź: Siarkę... Olej! Olej! — proszę pani.

MAJ

Nowy adres i telefon „Kamień”  
Lublin, ul. Narutowicza 35  
Telefon: 25593